

POLSKA
PRZEDCHRZEŚCIAŃSKA

OPOWIEDZIANA

W KŁECHDACH

podług

PODAŃ LUDU POLSKIEGO

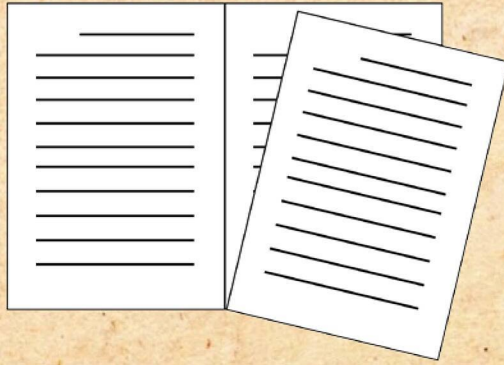
przez

DZIEJOPISÓW ZEBRANYCH.

Początek większy jest,
niż połowica wszystkiego.
KARDYNAŁ HOZJUSZ.



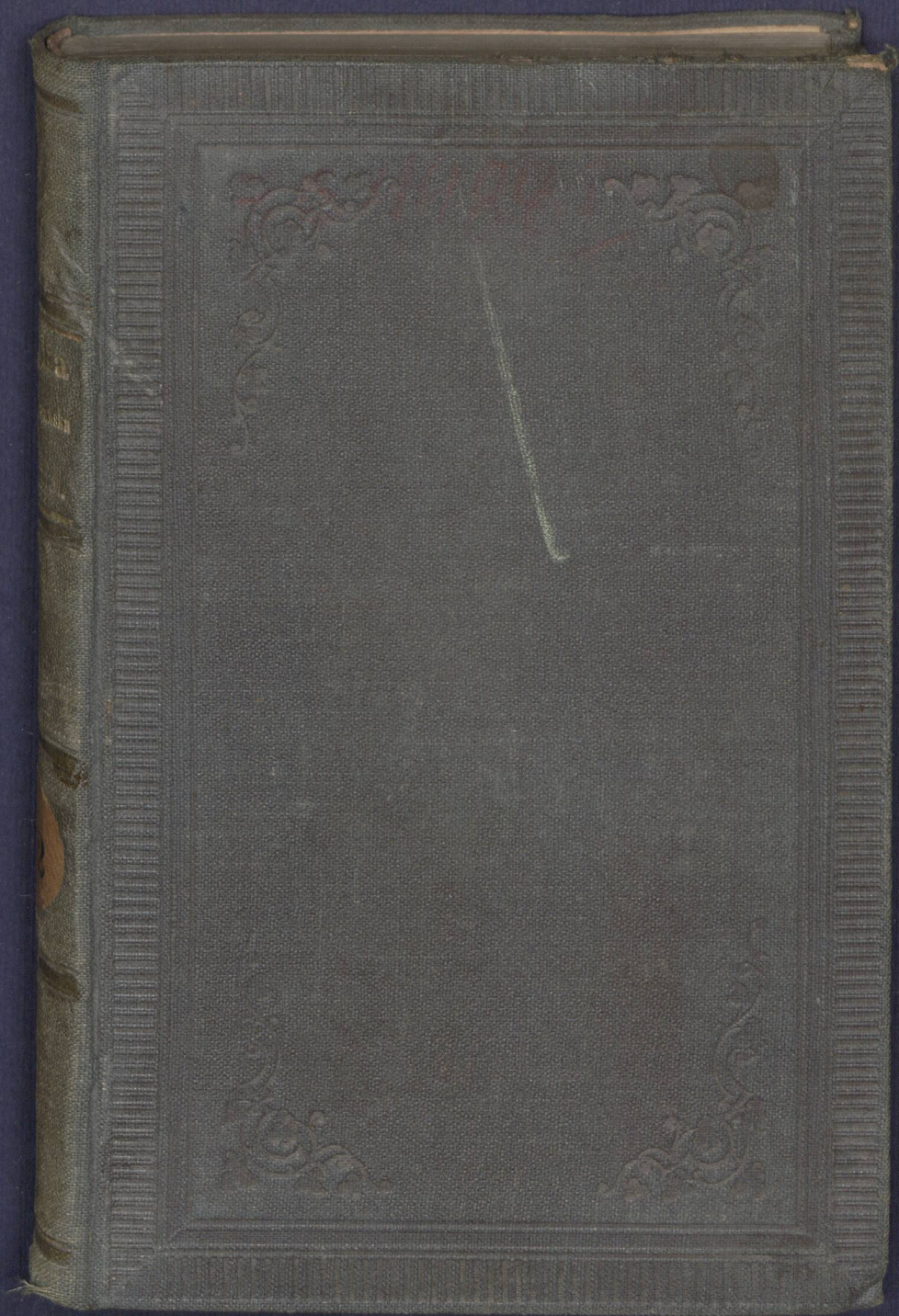
POZNAŃ
1842.



W woluminie kolejno współprawne sygnatury:

364488 I /1

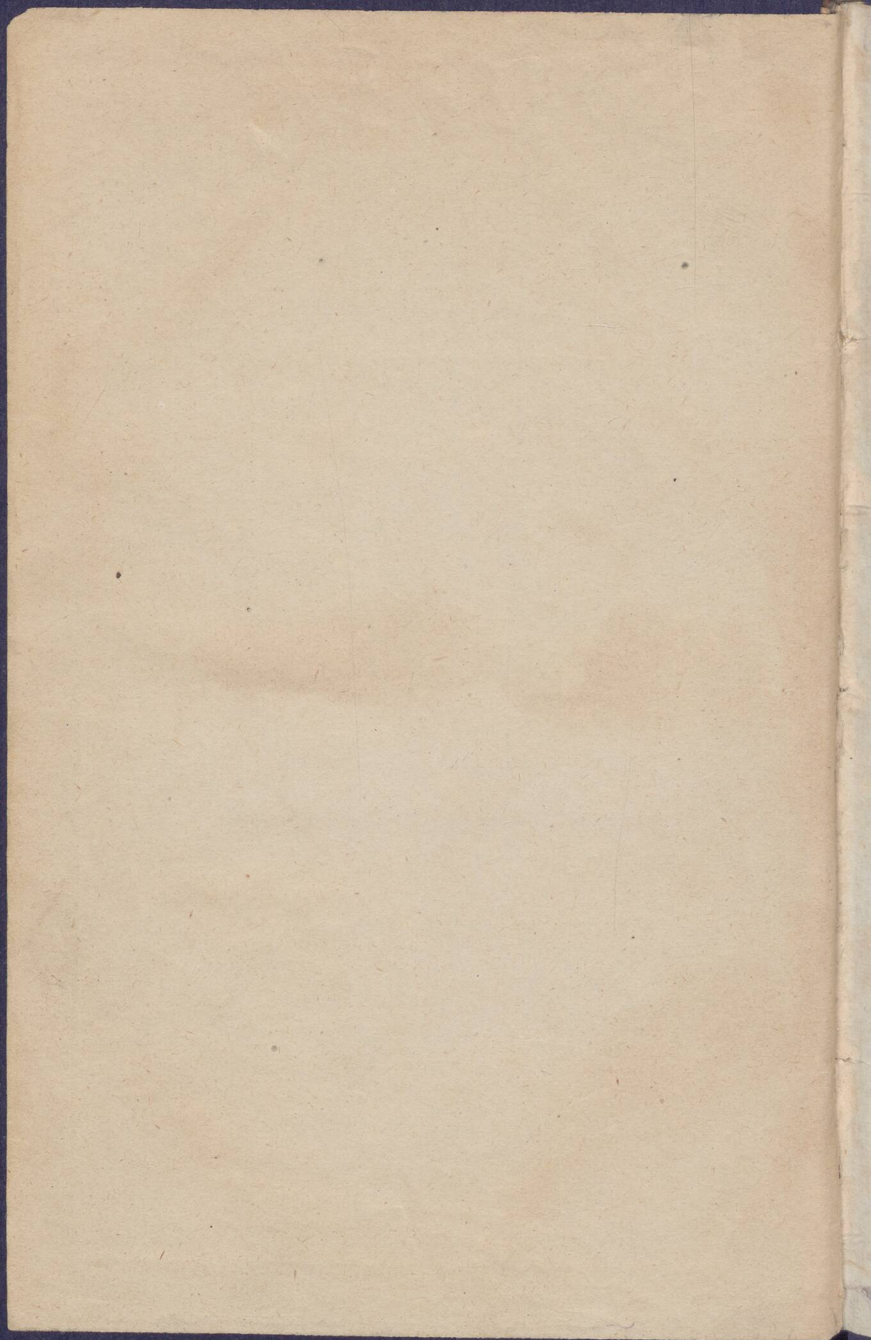
364488 I /2





22 09 2003

364488 I / 1



364488

PISMO

JA... KA... KA...

[= Jan Kanty Radecki]

Czuję w ręku siłę nową
Żądze nowe i gorące:
Co za szczęście z młodą głową,
Z młodą myślą — serce wrzące!

TWARDOWSKI. — Dialog z r. 1628.

Tom I.



POZNAŃ

Nakładem Autora.



DRUKIEM WALENTEGO STEFANSKIEGO

1842.

POLSKA
PRZEDCHRZEŚCIAŃSKA

OPOWIEDZIANA

W KŁECHDACH

podług

PODAŃ LUDU POLSKIEGO

przez

DZIEJOPISÓW ZEBRANYCH.

Początek więtszy jest,
niż połowica wszystkiego.
KARDYNAŁ HOZJUSZ.



POZNAŃ

1842.

CIENIOM

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

PIEWCY POLSKIEGO LUDU.

CINION

WARSZAWA WYDAWCTWA

PIEWY POLSKIEGO LUDU.

IMPRIMATUR

Posen, den 18. Juli 1842.

POPLINSKI.

THE BINDER

Bound in 12 1/2 x 13 1/2

Pages

[Faint handwritten text]

PRZEDSŁOWIE.

Naród każdy, równie jak pojedynczy człowiek, ma dziecięce swe lata, która to doba, miłym urokiem wspomnień wiek jego późniejszy uprzyjemnia. Wiek dziecięcy Narodu, jest zawsze epoką niepewną, a kiedy już w młodzieńca wyrośnie, dopiero kronikarze jakby należycie rodu jego świadomi, kreślą mu cudne przeszłości obrazy. Lud ich plemienny błyszczący od złota i brylantów czasami, powiadają mu, że na złotogłowi swe pierwsze wydał tchnienie, iż jest pokrewnym bogów, a nimfy bujały kołyską jego. Młodzian nadęty wysokiem pochodzeniem swoim, dumny się staje; zmyślenia czyste bajorzy wiodą go do wielkości.

podsycają w nim żądze sławy. On — stworzon do wielkości, winien walczyć, podbijać, panować; on — pokrewniak bogów, musi zamknąć w swém sercu nieskażone uczucia, i tym sposobem baśń stara kronikarzy Naród w siłach młodzieńczych czyni bohaterem. Niech mi kto zaprzeczy, iż co innego nie to panoszenie się z wywodzenia Ludów, czyniło wielkimi Narody, temu stawię na oczy owe Greki lub Rzymiany: to nie ludzie, pół-bogi zamieszkują ziemię, bracia rodzeni bogów szukają sił wszelkich w przyrodzie, aby się dźwignąć z duchem pod niebo, i zadziwiać cnotami, przez które chcą dowodzić, że to ich rodzina po przodkach spuścizna.

Odkąd ród ludzki poszedł w narody, kronikarze i poeci pracować poczeli nad przystrajaniem obrazami Edenu dni rodzinnych swego plemienia; a w miarę wzmagających się dziejopisarskich talentów u jakiego Narodu, mnożyli się bohaterowie; gdyż historia podawała ludziom wielkie do naśladowania wzory, które kopiując, sami nowemi, doskonalszemi częstokroć stawali się wzorami. Z tego się pokazuje jak wzniosły, a trudny do odpowiedzenia celowi, był i zawsze będzie zawód kronikarza.

Ale i nie sama wielkość, czy idealizm, wyjęty prosto z wyobraźni dziejopisa, napotyka się w dziełach tych, co o pochodzeniu narodu jakiego pisali: znajdzie się tam takie mnóstwo prostych, bezładu natłoczonych baśni, jak im co podawał głos Ludu. Pierworodne ich dziecię, mimo swą wielkość rodową, ukazuje się nam częstokroć, osnute w grube pieluchy, uśmiechając się do nas z kołyski prostej roboty, — bo kronikarz nieważył się naruszać podania Ludu; zabytki nic nieznaczące, ordynarne, stają się czasem relikwiami i srebrną jutrzeńką, która błyszczy potem nad skronią młodziana. Dziejopis więc opisać musi wszelkie drobiazgowo szczegóły, rodowe znamiona, nawet baśnie nianiek, zabierając się do skreślenia żywota, swojego bohatera.

Takich to baśni roje krążą nad kołyską Laciekiego Narodu; i dawniejsi kronikarze, bardzo rozsądnie, a raczej szczęśliwie, postąpili sobie, wszystkie takowe baśnie do swego dzieła zabierając, późniejszym dopiero pokoleniom zostawując sąd zdrowy i wybór rozumny treściwej a istotnej prawdy.

Epoka, którą kronikarze nasi nazwali bajeczną, w dziejach naszego Narodu, nie może się

nazywać wiekiem zupełnej ciemnoty: miała i ona swoich bohaterów, których cnoty sławionemi były od całego plemienia. Byli tam przykładni ojce, kochające rodziców dzieci; bo oni nosili w swych sercach przyrodne cnoty piętno, — święte, a tak jeszcze proste, jak je sam Twórca wyrył na człowieczej duszy; światło dopiero nauk illuminowało serce człowieka w cnoty wymuszone, — te kolorowe ognie, ale z nich dymy są częstokroć trujące.

U przodków naszych, którzy na tej tu ziemi stali jeszcze gościnną, życie było wielką móżołą. Zaspokojenie koniecznych potrzeb do życia, było głównym wszystkich zatrudnieniem: przemoc nie upoważniała w nikim próżnowania, a zaledwie tylko naczelników plemienia wypoczywały ręce, iżby mieli czas do załatwienia sporów i bronięcia niewinności. Naczelnikom więc przynoszono w dani chleb prosty, skóry i mięso dzikiego zwierza. Trybunały ich budowała przyroda: prawa według jakich sądzili nie były na miedzi ryte, ani też na pargaminach pisane; prawodawcą było sumienie; czyste serce, w którym się głos Twórcy odbijał, i zapisał tam swą wolę, dyktowało im wyroki.

Podania kronikarzy są szacownym, świętym Narodowym zabytkiem, bo nie mając prawdziwej istotnej historyi naszych przodków żywota, musimy wszystkie považać baśnie; równie jak kopalnik wysoką przywiązuje wartość do garści ziemi, byłoby ta mieściła choć odrobinę złota. Na Sławiańskiej niwie znajdziesz dużo takiego złota podania, czyli raczej klechdy narodowe, są jak wielki ocean sławiańszczyzny, na dnie którego skarbowów szukać trzeba.

Matka klechda, czyli podanie o trzech braciach: Lech, Czech i Rus, spłodziła kilka córek; z których liczne potem rozrodziło się potomstwo; u naszych kronikarzy. Podanie to święte miłować nam każe braterską miłością, każdego kto jeno zaszczycon Sławianina imieniem. O, jakżebym rad was do serca wszystkich przycisnął, bracia moi rodzeni! przelał w was i podzielił się z wami uczuciem mojem: a jakżebym pragnął tę krew tamować którą aż dotąd przelewa brat bratu. Syny jednej matki! nie przestajemy być kary bożej igrzyskiem, gdyż na sercach naszych ciąży zbrodnia Kaimowa.

Dziwi mnie iż p. Wojcicki, wydając przed kilku laty klechdy swoje, nie nie spomniał o klechdach

rodowych sławiańskich, od których nawet zacząć mu należało; dzieło jego jakkolwiek szacowne, zyskałoby przezto uroczystszą w oczach naszych postać. Mnie zatem nieudatnemu, wypadło przebywać drogę, którą zdatny Wojcicki pomiął. Z nieśmiałością do tak ważnego zabierając się dzieła, powtórzę klechdy jedynie naszych polskich kronikarzy; gdyż nie będąc obznajmiony z temiż u reszty Sławian, zostawiam je dla wprawniejszego pióra.

Klechdy moje są podaniem Ludu, ponieważ pierwsi kronikarze, nie mając piśmiennych zasobów, zbierać musieli baśnie i chrzcić je historyi imieniem. Takie podania są echem starych plemion, koczujących jeszcze po namiotach; w nich się odbija pierwotne, rodzime piętno Sławian żyjących pod pałryarchalnym rządem. W kronikach tych leży nasza stara cnota, jeszcze nieokrzesana, niepolorowna, właśnie jak brylant przed rznięciem od kunsztownej mistrza ręki. Gruby to wprawdzie, nieobrobiony kawał materyi, ale to zawsze szacowny klejnot!

Szczerłość, prostotę, — rodzinne plemienia łackiego zalety, długo nasi przodkowie w swém sercu dla nas zachowali, jakby najdroższą spuściznę.

Najczystsza prostota znachodzim w pismach naszych kronikarzy: wiele tam uczucia, myśli; ale chcąc wszystko należycie pojąć i rozumieć, należy zacząć od przekształcenia naszego serca; należy odnowić na niem hieroglif staréj, rodziméj cnoty — dziś starty, zamazany.

W klechdach moich strzegłem się anachronizmów: uwolniłem Polaków od walk z Aleksandrem Wielkim, tudzież z Medami, Persami. Krakusowi nie pozwoliłem wywodzić jego genealogii od Rzymskich Grachusów, lekką tylko uczyniłem wzmiankę, iż od Rzymian ród swój prowadził; Leszkowi trzeciemu nie dałem zaślubić Juli córki Juliusza Cezara, kiedy miał Polek powabnych i cnotliwych tyle. Kronikarze dziejów świata nie świadomi, a chełwi chwały dla swego Narodu, rzucając się dobrodusznie po wysokie dla plemienia swego saszczyty; niepomni na światło prawdy, i że hronologja kłamstwa ich wyda; wpisali do kronik swoich mnóstwo bredni, które pominąć należy, nie chcąc ubliżyć powadze i świętości dziejów ojczystych. Ale co jeno Bogufał, Marcin Gallus, Kadłubek, i inni, dobroduszném i swém piórem do kronik laskich zapisali, a gdzie tylko szezzerota przedwiecznych plemion odbija, które

zamieszkiwały dziś w gruzy zsypane grody, i przestronie okolic Gniezna starego równiny; wszystko to chwytalem łakomie, i starałem się do klechd moich zamieścić; znając, iż takie spomnienia smakują Polaka sercu, równie jak jego ustom kowieńskie smakują miody. Mówilem — ale nie własnymi wyrazy: głos mój powtarzał słowa, których echo brzmi ustawicznie w mej duszy czarodziej-skim dźwiękiem.

Bogufał, Marcin Gallus, Kadłubek, i inni dzie-wiczęj Polski kronikarze, byli jak ewanieliczni pro-rocy; którzy na Sławiańszczyzny łonie, piastując Ducha polskiej narodowości, dziecięce sprawy je-gc ośpiewali, przed Narodem wyrosłym już w mło-dziana; a bohater dumnie się uśmiechał, słucha-jąc dziecięcych zabaw swych spomnienia.

Cześć święta jaką dla mego czuję narodu, nie pozwoiliła mi udać się Naruszewicza torem! który na cudne edenu polskiego obrazy, sypnął ogniem nauki; wszystko, cokolwiek było zachwycającego, zalał morzem swęj głębokiej erudycyi. Marna ma-drości ludzka! co ci za korzyść lub sława, niszczyć te rajskie obrazy, w które pokolenia wpa-trywały się z rozkoszą, — do których serca pol-

skie przylgnęły, jak mech młodociany przylega co wieka do złomów kruświckiej wieży.

Klechdy moje będą grubym pokarmem dla podniebień lubiących łakocie: ciężkie to byłoby pożywienie, i trudne do strawienia dla przyjmujących jeno ciężkie potrawy a przyprawione na francuzki sposób. Takim łakotnisiom nie brać się do pożywania mego starosławackiego chleba. —



nie przylgnęły, jak muchy, do słow
wiedza do słow, i wzięły wzięły
Kiedy moje będa grzybn polniam dla pol-
niech, i będa do słow, i wzięły wzięły
jako ciężkie, i będa do słow, i wzięły wzięły
złi sposób. Takim, i będa do słow, i wzięły wzięły
pozostawia mogo, i będa do słow, i wzięły wzięły

KBEGCDA I.

ASSARMOT.

Kiedy plemiona Hama i Jafeta, posiadały już swoje
dzielnice, wtedy najszlachetniejsze Sema pokolenie,
błąkało się jeszcze bez siedziby. Jego patriarcha Assar-
mot, praprawnuk Sema, a praszczur Noego, Duchem
wieszczym natchniony, ukazując palcem północne zie-
mie, tak do swoich mówił:
„Dzieci! w Senarze już nam za ciasno, ja wam
na północ wskażę ojczyznę, tam nasz dziedziczny przy-
padł dział; jak gwiazdy nieba, jak piasek morza, kiedy
się wasze rozrodzi plemię, niech was poznają z języ-
ka, z serc. Niechaj z szacunkiem cudzy pogląda, tam
kiedy wschodzą północne zorze, w krawędź podwójny
zbiegł się świat: niech pokolenia za pokoleniem, taką

rodzinną cechę w was widzą: — Cnota ich żywiół, sława czyn.

Tam! — bez nazwiska leżą ziemice, tam — pianne morza, rzeki i góry, nie tam herbowych nie ma piętn: wy ich wielkimi mianą ochrzycie, wypiszcie na nich sławy swój dzieła, chociażby własną pisać krwią. A rozrodzeni w tysiące Ludów, tysiączne wznosząc zamki i twierdze, nieś zawsze pomoc bratu brat: równo was, dzieci moje! miłuję, dla wszystkich jedno zostawiam prawo — cnota wasz żywiół, sława czyn.

Jak wam przestrono! — od źródeł Oby, od mórz kaspijskich i brzegów Pontu, aż do Tauru, Kaukazu skał, i gdzie Rufejskie szaleją wały, gdzie żyzna ziemia jezior Meotu, wszędzie wygodnie dla waszych gniazd. Tamci w straż wezmą bramę Trijońską, olbrzymię rzeki co stu gardłami, wody mórz piją — Wołga, Don. Choć was rozdziela rzeki i góry, niech ten braterski nit was łączy — cnota wasz żywiół, sława czyn.

Gdy, głodni sławy, z siedzib gwiazdzistych, aż nad Urappy prysniecie brzegi, i dumny Jetru zgnieciecie grzbiet; jako ten Euftrat w powódź rozlanych, sława was ochrzczi w różne imiona, przed wami wokół zadrzy świat. Wykołysani w kolebie z lodu, chartowni mrozy biegunowemi, wśród mórz południa stawicie tron: a gdy wam będą dłońią i czołem uderzać poklask inne plemiona — cnota wam żywiół, sława czyn. Waszych oręży nie zatrzyma, wszyscy zwycięzce klękną przed wami, a wy świat wtedy rozkujcie

z pęt. Gniazda ciemieżców włócznią rozorać, ich karki dumne rozgnieść pod stopy, na nich rozrodzić Narodów tłum: gdy z nich potężne wzniesiecie państwa, gdy im będziecie budować grody, na swojej szali ważyć ich los; niechaj i wtedy to święte prawo, zapełnia wasze ojcowskie serca — cnota wasz żywioł, sława czyn.

Niech Tubalkajna, Jawana plemię, zwodniczą sobie chwałą zasłynie, iż czytać umie z przyrody ksiąg; niech inni śmiercią zyski kupują, słodko przyprawne piją trucizny, życie wlewają w ciosany głaz. Owi rozdarszy wnętrzości ziemi, niesyci złota, niech dzieci żony kupuje od nich dziki wróg: waszemi skarby łan złotokłosa, a hasłem waszém ma być przez wieki — cnota nasz żywioł, sława czyn.

Gdy wasze ziemie miodem popłyną, głodne sąsiady gardła otworzą, by skarbów waszych nektar pić; lecz tych na błoniach szablą zdmuchniecie, na rzekach wody wasze ich schłona, w górach lby stłuką o szczyty Tatr. Szerokowładni! Cóżto me dzieci?... przyszłość się ciemi, toczą się chmury... walczą żywioły, i zawył grom?... Zbyt długom czytał w przeznaczeń księdze. Ocal ich Panie!... wszak to Twe dzieci!... — ich żywioł cnota, sława czyn!“ —

I Assarmot upadł na kolana, wznosił obie ręce ku niebu, a potem kryjąc swe oczy, nie śmiał czytać w roztwartej przed sobą przeznaczeń księdze. Archanioł w gwiazdzistej szacie, zawisł nad patriarchy głową — i skinął: to był znak wzywający go przed

tron Przedwiecznego. Assar mot, po raz ostatni zwrócił swe oczy na tysiące dzieci, a lekki uśmiech przeliznął się po świętej jego twarzy. Coby ten uśmiech oznaczał? — nikt tego nie pojął z tłumu; może przyszła, niewypowiedziana jeszcze chwała plemienia, a po przecierpianej niedoli. Patriarcha zniknął w eterach, unoszony przez bożego posłannika, a nad jego pokoleniem, słońce już odtąd nie tak świetnie jaśniało.

niech imi śmierci, zyski kupuj, słodko przypraw
 pła truciwny, zyski wlewa w ciemny głąb. Owi roz
 darszy wzniesności ziemi, nieświeta, niech xia
 zoty kapie od nich dalek wrog: wazemi skarpy jab
 ziolokiosy, a haslem wazemi byda przez wieki —



Gdy wazemi xianie miodom popłyn, słodkie sąsiady
 gardla otworzy, by skarpy wazych nekter pić: jez
 zych na dłońach xadla xdmuchniecie, na rękach wo
 dy wazemi ich sefont, w górach by słońce o szexyry
 Tati. Szexokowatani! Cóżto me dzieci?... przyszłość
 sie ciemi, toczn sie chmury... walcz xzywoty, i za
 wyl xrom?... Xdyt blukom xzyta w przexnaxon kas
 dze. Ocal ich Patri!... wazak to Two dzieci!...
 ich xzywot enoty, sława czyn! —

1 Assar mot upadł na kolana, wznosił obie ręce
 ku niebu, a potem krzyjąc swe oczy, nie śmiał czy
 tak w rozważaniu, przeliznął sobie przexnaxon kas
 zechodził w gwiazdxistę xaxie, zwiast nad patriarchy
 sława — i skłonił: to był znak xzywoty co przel

czucie, iż nasze dzieci, na kościach ojców będą mrzeć. Zostań więc, zostań! na mą pieszczotę, — zaklaşnij w dłonie, hasło daj, i niech tysiące braci tułaczy uderzą w topór, stawią gród“...

Tak prosiła nadobna Oda, ponurego Lecha małżonka, tuląc się pod jego fałdowany płaszcz z niedźwiedziej skóry. Wódz pokolenia siedział zatopiony w myślach; a kiedy Lud jego miłej oddawał się swobodzie, on niemiał i chwili spokojnej, zaturbowany o przysporzenie mu szczęścia. Uśmiech rozkoszy przebiegł po zarośniętém licu Lechowém, przycisnął małżonkę do łona, i westchnął — spomniawszy, jaką uczynił dla niego ofiarę, opuszczając z nim ciepłą i wygodną Charwacką ziemię.

Dwunastu naczelników pokoleń stanęło przed zadumany wódczem — czekali na jego skinienie, na rozkazy, jakby przystąpili do słuchania wyroczni.

„Pójdźcie, bracia! do ofiarników, powiedzcie im, że się zmęczył Lech, swe pokolenie pędząc po świecie, i chce mu teraz stawić gród. Niechaj się modlą: Chorsza, i Mokosz, stary Lassota i chór Wit — wszystkie naszego plemienia bogi przyzwać tu; gdyż tu ołtarze, tu nasze chaty, tu ja chcę dla was stworzyć świat.“

„Skinął — podeszli, całując kraj niedźwiedziej jego szaty, — a piękna Oda uśmiechnęła się radośnie i padła przed kochankiem na kolana.“

„I one czasy miały kapłanów, i stanęło ich kilkunastu w rzędzie, wszyscy w bieli jak gołębice; a naj-

starszy patriarcha brodę miał podobną odzieniu: a kapłani pytali bogów, czy miejsce i zamiar osadowienia się, szczęście lub niedolę przyszlą im rokuje?

A było, iż orzeł wielki białopióry, unosie się począł nad ofiarnym płomieniem, głos jego był harmonią niebiańskiej muzyki; a okrążywszy trzykrotnym wieńcem głowę siwobrodego patriarchy, usiadł na odwiecznym, świętym dębie. I troje piskląt wyciągnęło ku niemu długie swe szyje, i roztworzyły się ich wygłodniałe gardła, a z nich wydobył się jeden jęklivy wyraz — głód!

I ojciec nakarmił dzieci swoje, a wtedy wszystkie trzepocąc w skrzydła, himn dziękczynny zaświegotały. A siwobrody patriarcha na to powiedział: „To wyświegotali Lachowie! a ten karmiący ojciec, to wasz wódz; lot głośny orła — to wasza chwała, a pierze białe — to wasz Duch. Oby ten zwiastun szczęścia, swobody, przez wieczność pierzem białém szklął. Lachowie! niebo przychylnosc wróży, na orlą chwałę wznosmy gród: on ma na dębie królewskie gniazdo, nam — tu na dole gniazdo słać, gród Gniazdem zwać.“

I powstało na puszczy orle miasto — Gniazdem je ochrzczono; dąb wyniosły na środku nietykalny stoi: otoczyły go ofiarników chaty, starców — władczy plemienia, świątnice Perkuna i bożyszcz znacznie-szych. A najwyżej nad wszystko wznosił się dworzec Klechdy.

Lechowy, złożony z twardego kamienia; na szczyt mu weszły dwie ozdoby — dwie wyciesane wieżycy, równe orlemu dębowi. I orzeł miał teraz trzy gospody: krążył wokoło dumnie, szeroko; a gdy srebrném polyskał pierzem, Lud z Gniazda, palcem go sobie wskazując, wołał: „Chejno, chejno! to nasz brat, to nasz druch, to nasz pan!“



I ojciec nakarmił dzieci swoje, a wtedy wszystkie rzeczone w szczyt, liana dąbkiżny, kaszyczolaly. A siwobrody patarcha na to powiedział: „To wy- światoliłi, łachowiel, a ten karnicy ojciec, to wasz wódz; lot głosny orła — to wasza chwala, a pierzo- biście — to wasz Duch. Oj, ten zwiasłań szczyt, siwobrody, pierz wioczność pierzem białem szczyt, łachowiel, niebo przychyłność wroży, na orłi chwale, wznośny gród: on ma na dnie królowskie gniazdo, nam — tu na dole gniazdo stąd, gród Gniazdom zwad.“

I powstało na puszcy orło miasto — Gniazdom to ochronono; dół wyniosły na środku nietykalny stoi; odczyły go olbranków chaty, starów — wstaba- ccy płamienia, światlice Perkuna i dożył szczyt- szczyt. A najwęższy nad wszystko wznosił się dżworo- Kiechdy.

Miasto Gniazdo chociaż w chlebie bogate, nie mogło
 już udźwignąć ludzkiej czerstawy, bo to się wzięło do
 zbytu mnożyło; a kiedy Lech czeleka zostawił, to teraz dy-
 lo dziesięć. Miasto długo, szeroko, a wokół wyznane-
 to ramioma: jednym, sięgnęło ku północy, a drugie
 nawyłoł przez bagno przehlił; drugim zamieniam opar-
 to się o jezioro, nad którym w piase się złożyło, i po-
 budowało domostwa ścisłionami rzędnami jakby palce
 u piasei; inne czony wygłazło to cudo, w miare jak
 mu we wzniesnościach toli, a mus było w bok nru-
 cę to, co przeschło. I daza była to maquina.

III.

WIZIMIROWA FLOTA.

I rozparł się dumnie Wizimir na Lechowym stoł-
 cu, a stołek ten przez półtora wieka, plemie Lechowe
 budowało z wielką mozolą. Stał on już wśród miasta
 wielkiego, a kiedy przedtem puszcza szumiąca dębowa,
 teraz kmieć pracowity ziemię skopał motyką; snąć mu
 było markotną, że dotąd jak wilk wsamo-mięso zrzec
 musiał, jak niedźwiedź — samą krwią się napawać.
 I miało już plemie Lecha spory kęs chleba, bo którym
 mogły po całych dniach na ścianach gładko uciśnianych
 wisieć z kołczanem strzały. Tylko pán Wizimir kazał
 czasami sobie ubić rysia lub sobola, iżby odnowić doń-
 ską swą szubę i czapę.

5

Miasto Gniazdo chociaż w chleby bogate, nie mogło już udźwignąć ludzkiej czerniawy, bo to się wszystko do zbytu mnożyło; a kędy Lech człeka zostawił, to teraz było dziesięci. Miasto długo, szeroko, naokół wyciągnęło ramiona: jedném, sięgnęło ku północy, aż puszcze nawylot przez bagna przebiło; drugiem ramieniem oparło się o jezioro, nad którym w pięść się złożyło, i pobudowało domostwa ściśnionemi rzędami jakby palce u pięści; inne człony wyciągało to cudo, w miarę jak mu we wnętrzościach roilo, a mus było w bok urzucać to, co przesycalo. Silną i duża była to machina, na środku której siedział pan Wizimir przed kamiennym swym dworcem a z dębowemi wieżycami; siedział mówię w niedźwiedzim, przez jedno ramie uwieszonym płaszczu, w rysiěj czapie na pół czoła nasunionej, i wesołem sokolém okiem spozierał na draby swoje. Chłop w chłopa jak kępa dębów, i twarze obroste jakby gałęzie liściate, kołczan przez ramie, a łuk przez plecy, za każdym szczękotały. Pan Wizimir jeszcze lepiej czapy nasunął na oczy, spojrzął na ludzi obcych co mu z lewego stalin — i westchnął. „Toć jabym chętny” rzecze do cudzych „wiódt moją działwę na duński żer — ale, na bogi, zaklinam, ludzie! jeśli to najazd cofnę w tył.” — „Nie władzco lacki!” posłannik powie „książę Pomorza, a nasz pan, Ismar, enotliwy nas tu przysyła, iżby się bronić pomoc miał. Tam, aż od morza, Duńscy są ludzie, co chci-

wię mordów, i naszej krwi, w chęć nas na usługi obrócić swoje, kazić nadziadów naszych próchili. Słyszał zaś Ismar żeś ty szlachetny, a więc pomożesz bratu brat: a gdy zwyciężym pewny obadźś darów; lecz nie nagrodzi żaden dar: bo ten co śmieć broni niewinnych, — temu nagrodą mało świat. Skończył posłannik. — Wizimir skinął, i zabrząkły paize, i odgłos gromu rozległ się przez miasto, i ruszyli mężowie. A szli całą dobę, aż jedno słońce i zima minęła, stanęli u morza na wiosnę. Szczętki lackie topory po sosnowej puszczy, tysiączne pracowały ręce zbijając wielkie okręta; a w roku sto ich wypłynęło na morze, jakby miasto jakie. Wizimir stanął u steru i łuk naciągnął, łuk do którego niczyja inna nie nadawała się ręka. Świsnęła strzała, aż tam kędy na swęj flocie stały duńskie rozbójniki.

Zadrzał Syward władca duński, świsł strzały śmierć mu niechybną rokował; zrozumiał, iż silna to musi być ręka, co takie naciąga łuki. Syward ucieczką chciałby już ocalić życie, ale zapóźno było: zawrzały nurty bałtyckiego morza pod ciężarem lackiego plemienia, prysnęły wiosła w odmętą; i pochwyłano duńskie zbiegi.

Ismar pomorskie księżę, mściwy za swoich zagładę, morskie bałwany krwią duńską farbował; ale spalił wojownicy w polu jeno brali zwyciężonych. Znalazło się kilkanaście tysięcy jeńca po bitwie: dwie Sywardowe córki, i Jarmeryk syn jego. Jeno samego nie

schwytano królika, który wolał poledz od Ismarowego
 oszczepu, niżli iść w lochydną niewolę. Każde z
 Lachy — bogate zabrali łupy: wielkie skarby złota,
 a najdroższy skarb u każdego narodu, — krasne dzie-
 wice. Wizimir był śpianiły, opuścił Jarmeryka na oj-
 cowską stolicę, tylko na niego charakter nałożył, plemię
 jego do ciężkich robót obrócił; i dwa miasta: Wizimirę
 i Dantysek, zbudować niemi rozkazał; a które stanęły,
 jakby dwie Wizimirowej sławy świątnice.

Wizimir, który miał w sobie wiele siły, chciał
 być po kosmowej przeszcy, tysiączne pracowały ręce
 jego, a w roku sto ich wypłynęło na morze, jakby
 Wisimir stał w sternu i tak niegdy, jak do
 wala się rok. Świsnęła stęka, że tam kędy na swej
 łodzi stał, dąskie rozpłynęły.

Nadział Syward władca dąski, świsł strzaly śmierd
 na nieobydne pokony; rozumiał, że siła to musi być
 taka, że takie nadlega łuki. Syward nieczek chiałby
 już ocalić życie, ale zapędno było: zawrzały nurły bal-
 tyckiego morza pod cieżarem łackiego plemienia, przy-
 anęły wiosła w odmęta; i pochwytało dąskie zbiegi.
 Ismar pomorskie kędy, mściwy ze swoich zagła-
 do, morskie balwany krwia dąską łubował; ale spa-
 niło wojowniki w polu jego brali zwycięzonych. Zna-
 lato się kilkanaście tysięcy jedna po bitwie: dwie Sy-
 wardowe córki, i Jarmeryk syn jego. Jeno samego nie

prawie. Uczuli co między siebie wzięli, porzuci-
li opatrywać swoje wojowody, i doprzeli w jednym
ze miał się iechowa. „On nas wydzignie z tej tery-
toacji, niech będzie naszym panem, niech on sam roz-
kazuje” — a Krakus ujął sibi berło po Lachu, które
się wzięło po Gniazda tryknu.

Dobry to był iud kiedy mu tylko xony pan przy-
wodził; i Krakus swoich znou przed światem uk-
zał w chwale. Nieprzyjaciele go nie laskie niechoby
jakomem paxnyli okiem, i już xarpali-ich ziemie, co-
tad musiel se wziętem.

IV.

z wojskiem wielkiem wybrali się na xawojowanie iac-
kiej krajiny; ale Krakus ich rozgromił, i na xawozę wy-
brzedł do dal. **KRAKUS, ARCY-WOJEWODA.**

Wygasła rodzina Lecha, co tylu dobrych wodzów,
plemieniu swojemu dawała: Naród oplakawszy stratę,
pragnąc uczcić ich wiecznym spomnieniem, przybrał
Polachów nazwisko. I trudno było naleść człowieka,
któryby wystarczył rządzić Ludem całym; tedy się zgo-
dzić musiano, izby dwunastu co zdolniejszych męży
z plemienia, po Lachu berło dźwigali. Wzięli je nie-
zręcznie, — i tak jeszcze było zaciężko: kiedy jeden
co rał, — wszyscy przeczyli; a każdy miał się za lep-
szego ze zdaniem. Otóż wśród owych naczelników,
wylęła się zgubna niezgoda, a Naród samopas pu-
szczony, bez żadnego hamulca, wylał się na mnogie bez-

prawia. Uczuli co mędrsi jednego władzcy potrzebę, jęli opatrywać swoje wojewody, i dojrzeli w jednym, że miał siłę Lechową. „On nas wydzwignie z tój toni!” wołali „niech będzie naszym panem, niech on sam rozkazuje” — a Krakus ujął silnie berło po Lachu, które się walało po Gniazda rynku.

Dobry to był Lud kiedy mu tylko zacny pan przywodził; i Krakus swoich znowu przed światem ukazał w chwale. Nieprzyjaciele co na lackie niezgody łakomém patrzyli okiem, i już szarpali ich ziemie, cofać musieli ze wstydem. Najsilniejsi byli Galle, którzy z wojskiem wielkiém wybrali się na zawojowanie lackiej krainy: ale Krakus ich rozgromił, i na zawsze wypędził do dalekiej ziemice. Krakus nim został księżciem, miał u brzegów Wisły zamożną swą ojcowiznę: otóż podobało mu się na owém miejscu zbudować stolicę państwa, a dla swego imenia chwały, Krakowem ono miasto przezwać. Stare miasto Gniazdo spoglądało ukosem, kiedy dwór Krakusowy, i co większe pany do tój nowonarodzonej przywiązywali się oblubienice. Gród Krakusów coraz to większej nabierał na sie urody, bo go wszyscy krasno stroili. Wyskoczył on w górę wysoko, tuż nad lewym brzegiem Białej wody; ubrał się w domy z uciosanego kamienia albo z cegły czerwonej, grubym murem się opasał, i na żelazne pozamykał brony. A po drugiej strony Białej wody, na wysokiej Wawelskiej górze, rozparł się spaniały Krakusów dworzec;

wszystkie obrócił względy na miasto, które miał pod sobą i stu oczami pokoju w mieście dozierał. Co Krakus ze swój nie dojrzał komnaty, to można mu było szczeblować na wysokie dworca wieżycę; a ztamtąd, to już nie do samego Krakowa, ale i do połowy świata by zajrzał.

Widać że złe duchy pozazdrościły Krakusowi chwaly, a jego panu wygodnej takiej gospody, kiedy u zamkowych progów, szkaradnego wypielegnowały smoka. W jaskini Wawelskiej, tuż przy Krakusowym dworcu wylął się straszny potwora, o stu głowach dziwoląga, która Lud Krakowa za pożywienie sobie obrała. Codziennie można było słyszeć, jęki strwożonych matek lub widzieć mężów, którym straszydło pożerało nadobne małżonki. Wiele obierało się walecznych, chcących zgładzić tego krwiozercę, ale nic w zysku nie odnieśli, prócz niechybnj śmierci; gdyż na miejscu odciętej smokowi głowy, nowa zaraz wyrastała, a straszne przeznaczenie zawsze ich sto mieć chciało. Dumał Krakus patrząc przez okna wysokiego swojego dworcu, chwycił dłonią za wyostrzony bułat; ale już on teraz nie wystarczał do wybawienia ukochanego jego Ludu.

Dzień był pogodny, — słońce zsunięte z błękitu, oświecało już tylko ostatni kraniec: na ulicach Krakowa panowała cisza, jakby całe miasto morowa wybiła zaraza, — głuche zaległo milczenie, bo nadchodziła godzina, w której smok ludożerca, miał przybyć po swą codzienną daninę. Po Krakusowych komnatach

dwóch się przechadzało mężów: jeden — krępy, kędzierzawy, uroda jego w barki się rozszerzyła, na których siła osiadła; lice miał blade, pociągłe, które kraślił spaniale nos długi, garbaty, to szlachetne znamie jeszcze rzymskiego rodu. Drugi — smągław, szczupły, z włosiem gładko uczesany, aż za barki spadającym; z postawy i z lica więcej uroda przemawiała niż siła, głowy nachylał w rozmowie, znać było uszanowanie, jakim tamtego częstował, a grzecznych mu słów dobierał.

„Co tu począć, wojewodo?” mówił mąż pierwszy poważnie „nie myślałem by nasz oręż stać się mógł bezsilnym tyle, że już w niczém jego władza, gdy idzie o ocalenie kochanego mego grodu. Legło walecznych tysiące co ze smokiem szli w zapasy; obrzydliwie stył potwora, karmny ciałem naszych braci. Ciągłe modlą się kapłany, duszno od ofiarnych dymów, mnogie stawiamy ołtarze, u Słowaków nie ma boga, by go w modłach zabaczono; a tu niknie człek po człeku! — gardło smocze jakby przepaść, już rok trzeci ludzi chłonie, — a tu radzić ni sposobu. Cóż ty na to, wojewodo?”

Wojewoda westchnął ciężko, — łza po piękném biegłym licu i stoczyła się na zbroję. „Ja mam radzić? o mój panie! na Wawelun już dwa razy, tym bułatem smocze głowy, jakby kłosa ścinał z niwy, — lecz cóż

nada ludzka siła? — potwór zawsze ryczy śmiało, ani jednej nie ubyło, zawsze paszczy sto otwiera. To cud bogów, że ja z życiem po dwa razy mu uszedłem! Ryczał za mną, tłukł się w lochu, widząc że łup się wymyka. Nielitośny ten krwiożerca, mnie najwięcej zrządził szkody: on mi pożarł mą kochaną, — nadobna moja Dziewanna, legła w paszczy tego zbrojcy!” — „Ty, nad jedną jeno płaczesz, a mnie łzy przychodzi ronić, za całym nieszczęsnym Ludem: o kochane moje dzieci! Mnie się zdaje, wojewodo, że tu trzeba użyć zdrady, kiedy za nic moc oręza: właśnie nadchodzi godzina, gdy krwiożerca się potoczy do Krakowa na wieczerzę. Modliłem się do Perkuna, i przychodzi mi myśl jedna... może Perkun nas ocali! — Weź ten ciężar... zejdźmy w miasto.

Krakusów oręż zawieszony niedbale, szczękotał po krakowskiej ulicy, a za nim postępował wojewoda, niosący na barkach cudo jakoweś: było to niby zwierzę podobne do barana, ale we wnętrzościach coś mu huczało, a jakby pochodnie płonęło dwoje oczu. Mężowie stanęli przy wchodowej bramie, którą zazwyczaj wtaczał się poborca, i czekali niedługo; zaryczała potwora, a miasto zadrzało, — uderzyło w trwogę i lament, jakby na ostatecznym sądzie. Potwór, sto głów swoich unosząc dumnie, zwolna postępował; a krew jeszcze nieprzetrawiona pluszczała z niego, gdyż nad

miarę żarł łakomca. Spostriżega łatwo tych, co mu zachodzili drogę, rzuca się pewny obłowu; — a wojewoda podstawił mu zręcznie dźwiganego na barkach cudaka. Nieświadoma podstępu bestja, łyknęła żer swój łakomie, a wnet mu we wnętrznościach zawrzało, jakby na dnie w piekle: ryk boleści dobył się stu gardłami z niego, — zatoczył się i upadł w męczarniach. Rozsadzone jego człony niebawem rozprysnęły się w tę i w ową stronę, a Lud krakowski wokół zgromadzony, upadł na kolana; i ze zgrozą oglądał jak we stu łbach śmierć zamykała jaskrawe ślepię. Smocze zwłoczyska złożono potem na całopalne ołtarze, a gród krakowski modłą i wesetem dziękował wybawcy swemu.

Zajął się potem Krakus uszczęśliwieniem plemienia swojego: gdzie jeno jego dosięgała władza, porozsadzał cnotliwe po kraju sędzie, zbrodnie wygnał ze swego państwa, i stał się ojcem dla lackiego rodu.

I tak długo uszczęśliwiał rządy swojemi, aż śmierci bliski przywołał troje swych dzieci i co większe pany, wszystkich zegnając. „Dzieci moje, bracia moi! już to raz ostatni pono słuchać macie mego głosu. Czy widzicie ów pagórek? ... sam usypać go kazałem: tam złożycie zwłoki moje; tam — z tej lassotowój góry będę ja czuwał nad wami, będę stróżem waszój sławy. Jeśliby wam, bracia! kiedyś enota poszła w obrzy-

dzenie; to rozrzućcie mą mogiłę, niech mój proch z Wi-
słą popłynie, — bym był od występnych zdala....”

Potém niedługo, wzniesiono nad zwłokami Krakusa, na lassotowej górze grobowiec, — a grobowiec ten do dziś na górze stoi. — ✓



daemie; to roztrzenie ma mozice, niich moj proch x W
sta popznie. — bym byl od wysiepuych zdala...

Polom niedugo, wznieione nad zwlokami křaku-
sa, na lassołwej gorze giedwiec. — a giedwiec ten
do chis na gorze stoi. —

185

Lech wtóry nie przywdział ciężkiej ojcowskiej szro-
icy, ale lekka przestronny bój, rozpuszczał swe chę-
ci za zwierzem. Chwała wojenna Krakusowego dwo-
ru, — przewzła na łowiska chwale; a taki ten raj
wodził, kto celniej do zuba zmiarzył; i więcej zwie-
rza nakładat trupem. Miko to było patrząc, kiedy Po-
lacy, jakby przyszły jedynacy, w łowach widzieli całą
moxotę i najlepszą zabawę; gdyby nie znajdowali się
nieprzyjaciele, którzy im za cel taków, — stawili pier-
si swoje.

V.

Lech miał jeszcze brata Krakusa, ale że ten nie
podobat się plemieniu, młodszemu tedy bratu rządy
oddane. Potwierdzenie to nie miało żadnego znacze-
nia; — on wtę z miarą posiadał
wzyskie ojcowskie enoty. Miko on na młodszego bra-
ta poglądał, kiedy oboz; tużnikami, na łowy wy-
jeżdżał; sam przy braterskim dworze dobre upodobał

TROJE DZIECI KRAKUSOWYCH.

1.

Onego czasu po okolicznych Krakowa górach szu-
miały wielkie jodłowe puszcze, w nich żyły stada
dzikiego zwierza: żubry i łosie, niedźwiedzie, rysie,
płasały swobodnie po kniejach. A chociaż dwór Lecha
wtórego, idac za upodobaniem pańskim, w łowach się
rozmiłował; nieliczne to były ręce aby chowańców pu-
szczy, strachu nabawić mogły. Rogowa trąba rozle-
gała się po leśnych dolinach i górach, a zwierza przy-
słuchiwały się téj muzyce, jak gdyby ona zwiastować
m miała wesele.

Lech wtóry nie przywdział ciężkiej ojcowskiej zbroicy, ale lekką przesłonił delją, rozpuszczał swe chestry za zwierzem. Chwała wojenna Krakusowego dworu, — przeszła na łowiecką chwałę: a taki teraz rej wodził, kto celniej do zubra zmierzył, i więcej zwierza nakładał trupem. Miło to było patrzeć, kiedy Polacy, jakby przyrody jedynacy, w łowach widzieli całą mazołę i najlepszą zabawę; gdyby nie znajdowali się nieprzyjaciele, którzy im za cel łuków, — stawili pierśi swoje.

Lech miał jeszcze brata Krakusa, ale że ten nie podobał się plemieniu, młodszemu tedy bratu rządu oddane. Poniżenie to nie gniewało bynajmniej szlachetnej Krakusowej duszy, — on wraz z mianem posiadał wszystkie ojcowskie cnoty. Mile on na młodszego brata poglądał, kiedy otoczony łucznicami, na łowy wyjeżdżał; sam przy braterskim dworze pobyt upodobał sobie, nie przewidując że swoją cnotą zazdrość w jego sercu obudzi. Poznał się dwór, lubo za późno, jaką krzywdę wyrządził bratu starszemu i sobie, Lecha na stolcu sadzając: poznał się też i Lech, że Lud jego w tym się rozumie; więc patrzył krzywo na brata. Krakus — na łowach zawsze więcej ubijał zwierza, wdzięczniej spozierał na dworskie pany w Krakowie.

2.

Już do wieczora od rana, róg przebrzmiał po gęstym lesie, a Lech próżno miata strzały, próżno rzuca się i zżyma: już wypróżnił kołczan cały, ani jeden zwierz nie upadł, wkoło jakby na szyderstwo, snóją przed nim spaśte żubry. Krakus wtedy dwunastego, dworskiej służbie oddał zwierza; bo i razu, swój cięciwy, nie naciągnął nadaremno:

„Złym się duchom zaprzedałeś, — chyba o mój starszy bracie! kiedy tyle ci się szczęści: i ja rękę mam żylastą, moc nielada, orle oko; przecież wszystkie moje strzały, jeno górne sieką wiatry?...“ — „Może téż to kara bogów“ ... odrzekł Krakus coś z goryczą. „Ty, mój bracie! władasz Ludem, a mnie bogi dają chwałę; obadwaśmy nagrodzeni: ciebie szczęście wywyższyło, mnie, niech wznosi sprawiedliwość.“ — Brat Krakusów przygryzł wargi, w oku ogień, bo go pali ostre słowo, choć braterskie. „Więc niech każdy swém się cieszy“ powie z ogniem „ja, nad ludźmi, a ty sobie panuj zwierzom!“ — „Mógłbym oba wziąć królestwa: bo wiem głód mi nie dokuczy; i starszeństwa nie zaprzędam, jak Ezaw patriarcha, zaprzędał je niegdyś bratu z jedną łyżką soczewicy...“

Krakus mówił jeno żartem, lecz chytre serce braterskie, w słowach tych widziało zbrodnię. Duszę mu ścisnęła twoga, już na stolcu widzi brata, a na rękę

swym, — kajdany. Więc pomyślał jeno chwilę: mąci uczucia namiętność, miłość bratnia na dno tonie, serce jedną żądzą pała — zemstą, zemstą już dla wroga. Lecz w uprzejmość przybrał lice, na Krakusa patrzy mile, jakby chciał ustąpić z tronu; dał mu bratnie uściśnienie, — a w sercu jad węża chowa.

„Jeszcze, bracie, w tym parowie, trzeba raz spróbować strzały, to koczowisko jeleni; pewny jestem, że ubiję. ... Zejdź tam! niżej ... pądz je ku mnie ... ręczę, teraz strzał nie chybi“ ... Odbiegł Krakus, — Lech wymierzył, i — ugodził w piersi brata! Strzała krwawa wskroś przeszła: ztyłu jakby żądło węża, w plecach sterczy, kiedy przodem, popłynęła krew Ablowa. Lech zatoczył wzrok Kaima: nie nie widać ani słysząc; jeno Krakus wydał z bólu, jęk straszny, przeciągły, ciężki, — to żywota pożegnanie! Wzdrygnął się Lech, a wtém bratnia dusza w niebo uleciała.

Przyszli dworsey: wzrok szalony, a na twarzy kat — sumienie, zbrodnię bratobójczą zdradza. Odkryto Krakusa zwłoki, myśliwskie grono zadrzało, widząc, iż brat — zabił brata!

Lech z czarném swoim sumieniem, nie wrócił już do Krakowa, ale wzięwszy kij pątnika, po całym się tułał świecie; właśnie jak owa gadzina, co pod stopy człowieczemi, dotąd chydne czołga człony, aż póki jój nie rozdepcą. —

Jesienne słońce zimnym połyskało promieniem, właśnie jak staruszki zrenica, w której nie najdzie już ognia rozkoszy, tylko w niej wąty płomyk tleje, i podnieca — tęsknotę. Orszak żałobny zbliżał się do Krakusowego dworcu, na marach leżały zakrwawione Krakusa zwłoki. Mieszkała w dworcu nadobna Wanda, królewiczów siostra rodzona, czysty anioł — i z dobroci, i z urody, a po całym świecie obojgiem słynęła. Lubiła i ona często z sajdakiem na plecach, mężnie dosiadając konia, puszczać się z bracią na łowy, a teraz wybiegła przodem na ich spotkanie. Zakrwawiło się serce dziewicze, ujrawszy rozdarte i krwią zakrzepłe ukochanego brata łono. A skoro dworski jój odpowiedział, że sam Lech stał się jego mordercą, łzami zabiegły jój piękne zrenice.

Ale Wanda, oprócz tkliwości niewieściój, posiadała jeszcze siłę męskiej duszy, — onę, co nie na długo zostawając w bezsilnym nieczynie, wiedzie do chybkiego zaradzenia złemu. Naród był osierociał, Naród upadł pod jój nogi, prosząc, aby piękną swą ręką niewieścią, rządów ujęła wodze: i Wanda zrozumiała wysokie powołanie swoje. Stolec Krakusów, na którym Lech w strzeleckim swym zasiadł stroju, brzęknął ciężką stalową zbroicą; strzały, na żubrów jeno przedtem ostrzone, z Wandziej dłoni przysnęły ku Niemcom gradem:

bo Niemce pod niewieścim lechowym rządem, zaganiali się w kraj daleko, trzebili puszcze i zwierza, wybijali mężów, uwożąc liczne skarby i dziewice do zaodrzańskiej swój ziemie.

Wanda liczne hufy zbierała, — sama ich wyuczyła wojennych obrotów, właśnie jak bohater jaki; sama wiedząc ich na wroga, zwyciężała po trzykroć liczniejszego nieprzyjaciela.

Był w on czas między Niemcami wojak znamienity — Rytyger, który nazwycięzał już wiele: ten zasłyszawszy o walecznej a najpiękniejszej polskiej księżniczce, poprzysiął nie składać miecza, aż Wandziną posiedzie rękę. Nikt jeszcze dotąd sile jego nie sprostął; a Wanda o waleczności jego nasłuchiwała się już nie mało.

Było to właśnie po ostatniej bitwie: Biała woda czerwonym nurtem płynęła, krwią poległych wezbrana. Niemce stali nad brzegiem i w Kraków zazierali łakomie. Garstka polskiego rycerstwa na drzewcach oparta, dumiała o świeżym boju; w którym, lubo zwyciężyli nasi, i mnogo nakładli nieprzyjacielskiego trupa; ale i u nich strata była bolesna. Zostawała jeno niewielka co najwaleczniejszych siła, a Niemcom świeże posiłki ciągnęły. Gród Krakusów wstrząsł się przed tą nowospłodzoną chidrą; a środek ocalenia był tylko jedyny, — ale dla Wandy okrutny! Rytyger powiedział, iż złoży oręż swój krwawy, i poda Polakom dłoń bratnią, byle mu rękę Wandziną oddali. Szlachetne serce

pięknej Polki brzydziło się obmierzłym wrogiem: nie długo się wahała w wyborze własnej zguby albo ojczyzny ocalenia: przeniosła bratnie szczęście nad życie samo.

Rytygerowe posły raz ostatni prosić przybyli iżby Wanda swą dłonią krwi rozlew wstrzymała. Na bogato przystrojonym tronie, spaniale wyglądała księżniczka: snać było walkę w jej umyśle, gdyż na śnieżne jej li-ca, raz różany wybijał rumieniec, to znowu na nich bła-dosć osiadła, jak gdyby dusza z jej ciała już ubiegła. Nigdy jeszcze Wanda nie wydała się równie nadobną: Rytygerowe posły zdumieni patrzali, a każdy w duszy powtarzał: „nie dziw, iż wódz nasz o tę krasolicę tyle się upiera, — wszak to czysta bogini!“ —

„Idźcie“ ozwała się Wanda „powiedzieć wodzowi swemu, że już na sercu mojem zbyt cięży, tyle łez bra-tnich i tyle krwi: ten miecz Krakusów, ten tron i chwa-ła, — czego Rytyger pragnie łakomie, wszystko z mą ręką czeka wraz. Lecz niech się jedną zwiąże przy-sięgą: jeżeli, jak mówi, szczerze mnie kocha, i o mą tylko walczył dłoń; tedy, skoro tę jeno posiędzie, niech jego zbrojne ustąpią hufce, gdyż o co walczył, — będzie miał.“ — Odeszli Niemce a z nimi polskie pany, przed którymi Rytyger świętą wypowiedział przysięgę.

Bohaterka dziewczica, tając zamysł w głębi duszy, pożegnała ze łzami rodzinne miasto: płakali z nią i

poddani, lubo nie znali jeszcze, jak dobrą panią utracą. Wanda stanęła na wierzchołku skały, właśnie kiedy Rytyger śledził łakomie jój ruchy. Już widział ją nieraz, jak swe waleczne szykowała wojska, jak zręcznie chestrem toczyła, ciężką zbroicą okryta; ale jeszcze mu nigdy tak piękną się nie wydała, jak w chwili téj, kiedy już był pewnym jój posiadania. Oczy jego tonęły we splotach kruczych włosów królewny, wdzierały się pod jój lekką zastonę, okrywającą alabastrowe łono.

Wanda raz jeszcze ze łzami na gród rodzinny pojrzała, i — rzuciła się w nurty bystrój Wisły! Wódz niemiecki poskoczył na głębie, i wynosi w objęciach anielską dziewicę; — ale święta bohaterka już nie żyła. Zawył z żalu okropnie, — nadbiegli téż i polskie pany; a dopiero pojęli Rytygerową przysięgę. — „Tyś ją zabił, Niemcze! O, Ty, święta nasza Pani! — więc przeniosłaś śmierć tak wczesną, nad żywot długi a srogi, gdybyś z Niemcem go dzielila. Masz, coś pragnął: — ciesz się trupem, ciesz się dziki Rytygerze! — a wracaj w swą głodną ziemię. Wszak pamiętasz o przysiędze: Rytyger ustąpi z swymi, jeno Wandę mu oddejecie? Lecz ostatni by z nas zginął, gdy szło o jój ocalenie, — i żadenby Polak żywy nie służył ci do wesela!“

Łzami zalewali się Polacy, a Niemcy się wachali, jakby na niwie kłosy. Rytyger lękał się kary od swe-

go niemieckiego boga; więc zaraz w nocy, rozległ się tentent koni po Wawelskiej górze: to ustępowali Niemce do swój zaodrzańskiej ziemi.

Dziewicze księżniczki zwłoki, złożono na wzgórku przyległym Krakusowemu grobowcu, nad niemi piękną usypano mogiłę, którą krakowskie dziewice wonnemi posiały kwiaty.

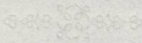
I dwie mogiły: córki i ojca, którzy tyle kochani Polsce panowali, stanęły jak dwie laskiej sławy strażnice. Już błogo było umierać na ziemi uświęconej tak zacnemi groby. A dwa cienie, krążą ustawnie nad laską krainą.



no mianem tego bogu; wiec wstax w nosy, rozbiel
nie tustat kont na Wawelskiej gorze; to usapowal
Niemca do swaj zachwaszkiej ziemi.

Dawno ze kszesczki xwloki, xlozono na wazdoku
przykryta krasnowym grubowem, nad ziemni oiekna
usypano mogile, ktora krukowkie dzinwice woznami
doszaly k wlozy.

I dwie mogily coki - oja, ktory lylo kochani
Polsce panowali, stanely jak dwie laski; stawy sra-
niane, jak blago bylo umierne na ziemi uawieronaj
jak szczeni gropy. A dwa cienie, kraj uslawnie
and bota kraja.



VI.

KSIĄŻĘ ZŁOTNIK.

Po Wandy skonie, zostawała w ciężkiej żałobie cała laska kraina, a nikt nie śmiał sięgnąć po tę koronę, którą ze świętej zdjęto głowy. Znow tedy wybrano dwunastu co możniejszych panów, oddając im władzę nad całym Ludem i wojskiem.

Wszyscy płakali, — a okrutne wrogi, widząc dla siebie dobę pomyślną, na osierociałą napadli ziemię. I dużo krwi wytoczyli, bo nie było rządnej ręki, coby ją tamowała.

Obrał się przecież jeden rycerz z tłumu, który nieliczne wojsko zebrawszy, ofiarował się niem pokonać straszne Morawiów i Pannonów siły. Człowiek ów wyuczył

się był przed laty, odkuwać miecze i zbroje, umiał wyrabiać chełmy i kirysy, a nadawać im połysk słonecznego blasku. Wywiózł on całą krakowską zbrojownię do pobliskiego wojskom nieprzyjacielskim lasu, jasno wypolorował stal pordzewiałą, i nocną dołą, chełmy i kirysy na krzakach porozwieszał. Skoro dzień zabłysnął, ujrzał nieprzyjaciel strwożony, ogromne Polaków wojsko, rozstawione po lesie, w którym się rozlegał gwar rycerstwa i szczęk oręża.

Pewni wrogowie, iż nowe jakieś posiłki Polakom nadeszły, jęli uciekać ze strachu; wtedy garstka walecznych z Przemysławem, co tém blaszaném dowodził wojskiem, na uciekających nieprzyjaciół napadła, i krwawą im klęskę zadała.

Pannoni oraz Morawcy w połowie wyginęli, wprzód nim się postrzegli, iż jedna polska ręka, po kilkunastu ich zabijała, a tymczasem one blaszane wojska stały nieporuszone.

Rozpacz, wstyd, i trwoga po wielkiej swoich utracie, pognała nieprzyjaciela, więc całkiem z polskiej ustąpił ziemi.

Lud wdzięczny z wojewodami za przemysłową usługę, jednomyślnie okrzyknął go księżciem. I dobrego dostali pana; gdyż nie do samej jeno wojny był on dzielny i skory: pod zarządem jego szczęsną swobodą cieszyła się cała kraina. Wszyscy szanowali władzę swojego, pomnąc, że gdy innych urodzenie sa-

VII.

WYŚCIGI KONNE.

Na północ Krakowowi, leży przestrona równina: od brzegów rzeki Prądnika, kiedy zapuścisz na płaszczyznę swe oko, to się jak jabłko potoczy po niej; nigdzie skały, ni jeziora, ani wzgórza, jeno całe błonie usłane murawą.

Tam się zebrał Lud okoliczny, a nawet i daleki, na wybór nowego pana: bo rozdzielone zdania, spory wojewodów, długo trwała niezgoda, do tego przywiodły, iż na los teraz puszczano, kto zostanie księżciem. Wszyscy się zgodzili, a Lud wesoło nawet tę myśl przyjmował, że ten będzie władał całym państwem, czyj koń pierwszy dobiegnie do oznaczonej mety.

Na wywyższoném miejscu, dwunastu sędziwych starców siedziało, którzy schyleni laty, nie zdołaliby dzisiaj iść o pierwszeństwo do tronu w zawody; Lud tedy obrał ich za sędziów tego igrzyska. Na stroonie, przy sędziowskiej widowni, kilkunastu, co pierwsze pany, stali szeregiem, na dziarskich chestrach, które jakby zgadując wysokie znaczenie swoje, ryły ziemię kopytem i białą pianą parskaly: każdy potrzasał grzywą spaniale, a pięknym ich jeźdźcom wydało się że już na tronach siedzą. Co rątsze, wysuwały przodem: wtedy pacholeta w kosztowne przybrane szaty, białemi proporczyki powiewały, aby wstrzymać dumnego zwierza, i wszystko w jedną wyprostować ławę.

„Sławetny panie! chamuj se chestra, — wszak dosyć czasu będziesz miał: gdy skiną sędzie, my kładniem w dłonie i tysiąc razem zagrzmie trąb; popuszczaj wodze, dalej w zapasy! ale wiem, wtedy pójdziesz w zad.“ — Tak karcilo strojne pachole zuchwałego rycerza, który najczęściej przed ławą wysuwał i sędziów tumanem zakurzał. — „Cóż tam mi bredzisz — ty no simieczu? czym poto na chestra siadł, iżby mi taka brudna chołota, lub chłopie wodzem miało być?“ — Jeździec zakręcił koniem wokoło, a rozdąsane pachole patrzy mu w oczy ukosem.

Sędziowie wydali hasła: zagrzmiały trąby, i zatętniała ziemia, pod dziarskich rumaków kopyty. Wszyscy naprzód równą wypuścili się ławą; ale niebawem

konie, jakby już umęczone w biegu, wolnieć poczęły: nie pomagała ostroga, a jeden jeno śmiałek sunął wszystkim, o rzut strzały ich zostawując. Rumaki żuły wędzidła, prychały w boki kłóte ostrogą, lecz jakby je licho urzekło, coraz to słabiały w biegu. Ale jeździec co suwał przodem, nie sam do mety dobiegał: tuż przy nim pieszo gnało owo zląjane pachole, a wyszczerzając białe swe zęby ku zwycięzcy wykrzykiwało: „panie frant! panie frant!“ —

Jeździec dopadał do mety, tysiące się ozwało z uwielbieniem głosów: znowu trąby zagrzmiały, sędziowie głoszą zwycięzcę i nowego pana, a pacholę co z jeźdźcem dobiegło do mety, zadyszane wołało: „Ten panek, mili sędziowie, nie koniowi winien sławę, ale swemu kowalowi: patrzcie! — jenom raz uskoczył w bok, z téj drogi którą ścigał, a krew mi ze stopy płynie. Jeśli jego okrzykniecie, sędziowie, ksiązęciem, — zdrajca będzie władał wami.“

Zdumieli sędzie słysząc głos śmiały nadobnego pacholęcia; postąpili ku wyścigowej drodze, i ujrzeli ją wybitą utajonemi gwoździemi, a zafarbowaną od ściągających się koni: jedna jeno wążka wiodła naokół ścieżka, którą zdrajca przebiegał. Pochwycono tedy niktzemnego fałszerza, skonał pod spółzawodników mieczami; a wtedy jeden z sędziwego grona, tak się odezwał do Ludu:

— „Już zasłużoną odniósł zapłatę, ten co niktzemne

zdrady knót, lecz sprosny fortel byłby w ciemnocie, i onby panem naszym był: ten piękny młodzian, co zdradę zbadał, co wraz do mety z zdrajcą biegł, — niech nam panuje! pokażmy światu, jak sprawiedliwym był nasz sąd.“ — A radosne okrzyki słyszeć się dały w około: „tak, tak, niech panuje, niech rządzi nami piękne pachole!“ — i Lud cały okrzyknął panem młodziana. Ci nawet którzy na koniach o pierwszeństwo szli w zawody, uznali go zwycięzcą. Dla większej imienia chluby, nieznanego pacholęcia, Leszkiem go przezwano; tak tedy Leszek wtóry począł panować.—

Widać bogowie sami tego młokosa Polakom zesłali; gdyż ledwie zasiadł na stolcu, a zaraz jął zdziwiać cnotami swemi. Jakby zdawna rządzić wyuczony, umiał wydawać mądre rozkazy; nikt od niego nie wyszedł nieuszcześliwiony, a świętém się stało oblicze pańskie całemu laciemu plemieniu.

Umiarkowanie i trzeźwość pańska, stawały się dla wszystkich wzorem. Często on zwykł był swoim powtarzać panom, z bogactw się jeno chełpiącym, że nie złoto go wyniosło i usadowiło na tronie. Nie wstydział się w dawne grube odzian łachmany,— strój swój młodości, ukazywać Ludowi swemu; a wtedy wznosząc ku niebu swe natchnione żrenice, tak przemawiał do niego:

„O, nie złotem, spółziomkowie moi! ale cnotami waszemi, starajcie się mieć górę nad bracią.

Sława imienia naszego przejdzie od Narodu do Narodu; — jeżeli czyste serca nasze będą bogów świątnią. Już my ucierpieli wiele, i kara bogów, już nie raz spadała na karki nasze, — czemuż więc sobie na ich łaskę nie zasługujemy?

Byłem w łachmanach, żebrakiem! — a w dzień ów uroczysty, wielki; — jakoby jakiego kuglarza mnie wystroili:

I łaska bogów mnie dojrzała, i wynieśliście mnie — proch! abym panował nad wami.

Nie łaknę ja krwi nieprzyjaciół naszych, ale jeno pragnę Ludu mego uszczęśliwienia.

Niech przyszłe pokolenia spominając o mnie nie powiedzą: „ten zwyciężył Narodów wiele:“ — ale jeno: „był ojcem Ludu swojego.“ Posiwałem już w usługach waszych, a chciałbym jeszcze zakwitnąć w młodziana; iżbym wcześniej nie przestał zachwalać wam cnoty. Nie ubiegajcie się, o bracia moi! za godnościami i bogactwy; pomnąc, — iż chydne według was ubóstwo jest bożą oblubienicą, i matką wszelakiej cnoty.“ —



Stawimienia naszego przedzie od Narodu do Naso-
du; — jesti istnieje serce nasze bogu bogow swiatow.
Iuz tak uwazajac wozie i kara bogow, jak niemozno
dala na karze nasze — coznam wico sobie na ich karze
nie xstajemy?

Bylam wy fachmannach, xpraktionach! — a woziam
owu uwazajac, woziki; — jakoby jakiego kuzlaka tu
wystawil;

I jaksa bogow tonie doznala, i zynichliscie tu
— przedi abym powowal nad wami.

Nie jakas ja krowa niu xstajacal naszym, ale jako
pragne ludu mego xszellicznie.

Niech przysze pokolenie szumnieje o mnie nie po-
wiedzaj: „Ten xzwyciezyl Narodow Wielkich“ — ale jako:
„Byl ojcem Ludu swojego“. Postawiam juz w uslugach
waszych, a chcialbym jeszcze zakwintac w nich; —
i tym wzecnie nie przestaj xszewat wam onoz.
Nie ubiegajcie sie, o paczu moli za godne ziom i bogo-
ctwy; domnie, — iz chadne wedlug was abo two jest
boga obliczenia, i matka wazelskiej onoz.“ —

VIII.

POPIELE.

Leszek trzeci w dobrym stanie państwo po ojcu odebrał, a umierając, ziemią dwunastu synów swoich podzielił: miłość ojcowska równo mu wszystkie dzieci kochać nakazująca, równo téż mu uposażyć je kazała. Ale dla utrzymania porządku, dla łagodzenia niezgód, choć między bracią rodzoną, oznaczył Leszek pierworodnego syna swego; a więc tego wyniósł nad wszystkich, tak aby i nad bracią panował.

Syn ten pierworodny Leszków, Popiel się nazywał. Zaraz po odebraniu rządów, przeniósł stolicę z Krakowa w bezpieczniejsze miejsce; bo mu tam doskwierał nieraz cheiwy Teutończyk, albo Panon zuchwały, i czę-

sto strachu nabawił w stółecznym grodzie. Popiel tedy zasiadł na środku swój ziemice, w starém mieście Gnieźnie, a obejrawszy się naokół, upodobał sobie piękną stronę nad Gopłem jeziorem: więc nad jego brzegiem, spaniały zamek na stolicę zbudować rozkazał.

Wśród bagnisk odwiecznym lasem zarosłych, nad którymi sam jeno Lassota dotąd panował, gdyż zaden z ludzi nieśmiał spierać się tu z nim o panowanie; Popiel mnogo ludu nagnawszy, kazał dla siebie budować gospodę. Drzało bagnisko, jakby złe duchy we wnętrzościach mu roiły, lecz je ciężkie przygniotły kamienie, a na olbrzymim ich stosie, dźwigać się począł gmach wielki, któremu na głowie dwie zatknęto wieżycy. Na kryształowém gopłowém zwierciadle, odmalował się cudny Popielów zamek, i aż do połowy jezioro swém cieniem zaścielał. A zamek co raz to panoszył się więćej, wyrastał w olbrzyma; bo mieścić musiał we swych wnętrzościach i tylu ziem pana, i dwór jego, i przyjmować często w gościnę liczne wojewody, i rostwierać wielkie swe izby, w których ze swymi radnymi Popiel rozprawiał do woli. Zaledwie, że Popiel ukończył swój książęcy budynek, i raczyć w nim swoich młodszych zamierzał braci, kiedy go śmierć zaskoczyła niespodzianie.

W Popielowym zamku był pogrzeb miasto wesela, a stroskani książęta ceniąc pamięć i starszeństwo brata, jego syna na tron wynieśli, lubo jeszcze w dziecinnym

wieku. Dobrze szły sprawy, dopóki dziecko jeno siedziało na tronie, a nad dobrem Ludu stryjów radziły głowy. Ale dzieciuch wyrastał w młodziana, a w se-reu jego widzieć się dawały wielkie chęci do złego; snać już było skłonność do lubieżności, chęć szafowania książęcemi skarby i oddania się rozpuszcieniu, na dobro państwa niebacznosc.

Bolesnie wzdychali stryjowie prosząc bogów, ale nie byli wysłuchanymi. Popiel wtóry nie miał i najmniejszej ojcowskiej zalety, a mieścił już w sobie wszystkie naj-sprosniejszego człeka występki: pod ludzi cnotliwych okiem, wyrastało to ladaco na wielkiego zbrodniarza

Ledwie rok dwudziesty liczył, kiedy poczuwszy swe siły, i wysokie poznawszy miejsce, na jakim usadowiło go urodzenie, przemawiać zaczął tonem pana; a niewdzięczny wychowaniec, stryjów nawet podciągał pod swe rozkazy.

Rozkazywał, — a wszyscy słuchać musieli; otoczył się sprosnymi rozpustnikami, lubieżnic rojem: biesiadował, na tym tronie, z którego przodkowie uszczęśliwiali Lud cały.

Naród jęczał, — lecz Popiel wtóry stał się tyranem, więc już nie było wolno ograniczać lubieżnej jego rozpusty, jeno pogardliwie Chorstkciem go przezywali. Uwiadł on wśród uciech światowych: skroń jego stała się naga, stawiał niepewne i drzące kroki; zestarzał się i znikczemniał rozkoszą, jak inni jego przodko-

wie starzeli chodząc około dobra Ludu swego. Inni targali siły w polu, u korda, na chestrze, po łbach węgierskich; a ożywiający ich balsam, było szczęście i uwielbienie bratnie: ale on, niszczał w komnacie, w objęciach nierządnic, z kielichem w rękę; a w jego krew się jąka truczna, wzgarda u potomności być miała jego spomnieniem i nagrodą.

Kruświcki zamek stał jak szatańska gospoda, nie znalazł tam wytchnienia ni pociechy cnotliwy.

Szukali sposobów stryjowie iżby powściągnąć niezadane chuci młokosa; i zdało im się, że Lud uszczęśliwi jaka oszczędna księżciu dana małżonka. Znaleźli niemiecką księżniczkę, cudnej urody, a do skapstwa nawykłą, dali ją więc Popielowi; ale lekarstwo ku większej posłużyło zgubie.

Popiel nie wyrzekł się złych swoich nałogów, a nowo przybierał od żony; stał się sknérą, i szukał zysków chociażby w upodlającym czynie. Sarkały mocno stryje, i zagrozili Popielowi, że jeśli się nie poprawi, to go od rządów oddalą. Popielowa małżonka, chciwa władzy niewiasta, takim napomnieniem strwożona, ułożyła myśl zguby stryjów, którą mąż przyjął radośnie.

Głoszą więc po kruświckim zamku, iż książe w ciężką zapadł chorobę a śmiertelną, żąda widzieć raz jeszcze i na zawsze swych stryjów pożegnać. Przybywają starce cnotliwi, — zastają Popiela bolejącego na łożu; wydając okropne jęki, przyznaje się on do

swych występków i żebrze przebaczenia. Zachodzące słońce rzucało ostatni jaskrawy swój promień na Popielowe oblicze; dwudziestu starców śmiertelne jego otoczyli łozę, poglądając ze łzami na rozpustne swe dziecię; z wychudłą gorączkowo rozplómienną twarzą, które przedwcześnie ma z świata zabrać rozpusta.

On, zbierając niby ostatnie siły, tak wątłym ozwał się głosem: „Gdybym jeno wasze zyskał przebaczenie, byłoby mi znośniej zstępować do grobu; ale ja w tej dobie mam cierpieć we dwoje, — ból ciała, a nadto wyrzuty sumienia. O moi stryjowie! błagam was ze łzami, przebaczcie łaskawi, proście za mnie bogów; kto tyle przecierpiął co znoszę w tej chwili, ma prawo litości prosić i zbawienia!“

Głos niknął na ustach jego; a głuszyły go jeszcze ciężkie stryjów łkania: poskoczyło ich kilku dając przychylnie uściśnienie zdrajcy, a potem wznieśli ręce ku niebu. Więc nikiemnik dalej mówił: „Już i teraz spokojny i swobodnie skonam... żegnam was!... w tém żona czarę mu podała — „jeszcze raz lituj z wami skosztuję napoju, o napoju! ziemskiego... a potem w wieczności, czekam, wasz pić razem Perkuna nektary...“

I Popiel dotknął się usty brzegów naczynia, ale śnać było wstręt i obawę, z jaką to uczynił: ledwie że kropla do ust mu wpłynęła, a zżymał się i kształcił długo; — stryjowie myśleli, że to słabość konają-

tego: brali puhar z kolei, a przechylając śmiało, aż do ostatniej kropli wypili zgubną truciznę.

Wtedy Popiel się zadumał, czy miał niewzruszone: oni myśleli za to walka boleści ciała, a w nim się toczyła walka boleści duszy, — i zbrodniarz ma sumienie. I na dnie brudnego Popielowego serca, jeszcze tłała ostatnia cnoty iskierka; teraz buchnął z niej gwałtowny płomień, i myśli jego zbrodnią zadymił. Patrzył się konającego oczyma: bo stanęła przed nim przyszłość, — żywot wieczny, a tam widział się zbrodniarzem potępionym na wieki: i wzrok Popielów osłupiał, i zdrzął na widok siebie samego, — skonał wtedy ostatni płomyk cnoty, a zasunęła go wieczna noc zbrodni.

Czy widzisz tych starców? — dwudziestu ich jak potempieńce leżą: para z ust pucha, na wargach piana wisi, wydobywają się jęki aż tam z wnętrzości; okrutna to walka cierpienie ciała! Ale po chwili udręczeń zwierają się zwolna ich powieki, na licu osiada spokojność; śmierć niesie im zbawienie. Bóg łaskawie na nich patrzy, bo ich Duchy stają przy jego tronie w szatach cnoty. A Popiel? Popiel! już wskrzeszony, — on, — dotąd jeno umierał, dopóki nie spełnił zbrodni; teraz się zadowolony przechadza, ale to zadowolenie est radością szatana.

„Cóż tedy... kochana! czy wszyscy skonali?“
 „Nie żyją! — ich ciała nad Gopłem rzucone. Będziemy szczęśliwi, już te stare zgrzędy, nie będą kłócili na-

szego wesela.“ — „Oj, mnie jeszcze dużo braknie do wesela!“ — „Zawsze jakby dziecko lękaś się snów własnych.“ — „To już nie sen dziecka! — terazem zbudzony... bo to była zbrodnia. Kat stanął nade mną, i wyrok czytają...“ — „Jaki kat i wyrok?..“ — „Katem mym — sumienie, a wyrok... o bogi! to pono już kara!...“ —

I zadrzał Popiel, widząc czarną jak chmurę, u brzegów jeziora poruszoną masę: coś się przewracało, toczyło iak bryła; a bryła stała się wielką, jak cały kruświcki zamek; z niej słyhać było pisk przeraźliwy, — jakby świerk dusz kiedy je pieką szatany

Bryła ta wnet się rozsypała — długo, szeroko; i alić... o cudzie! milionowe wojska olbrzymich myszy i szeszurów, — cuchnącego robactwa, toczą się prosto do zamkowych podwoi. Co tu począć? trwoży się już teraz i księżna zbrodnicza, porwała dwoje swych dzieci, a podając drżącą Popielowi rękę: „Uciekajmy!“ zawołała „to kara nieba!“... — I wypadli na podwórzec; jednym zaledwie krokiem wyprzedzili brudną czerniawę, minęli ją i stają nad jeziorem: a po zamku pisk przeraźliwy już się wszędzie rozlega.

Przejrżeli wszystkie kryjówki mściciela, ale przyroda wnet im pokazała swym palcem, przeznaczone śmierci ofiary. Więc znowu do brzegów Gopła się toczą, te robactwa wojska.

Popiel z rozpaczą chwytła za wiosło, którym na

IV.

P I A S T.

Jeszcze pod sprosznym Popielowym rządem żył w Kruświcy zamożny mieszczanin, syn kołodzieja nazwiskiem Piast, który kochany między wszystką braćią, prowadził żywot uczciwy. Kawał jego ziemi najbujniejsze wydawał plony, około nizkiej i schludnej chatki jego, roje skrzydlatych pracowników latało, i wysmienite przysposabiało dlań miody; a nad chatką, na rozłożystym jaworze, bocian — ten zwiastun obfitości i szczęścia, ze swą rodziną założył gospodę.

Wielka się raz odbywała uroczystość w tym przybytku sierańskiego dostatku, bo Piast gościnnie raczył sproszone sąsiady, obchodząc pierworodnego syna swego postrzyżyny.

Rozsiadły się rubaszne goście, a wychylając czare po czarze dobrego miodu, smaczném częstowani mięściwem, wesołym śmiechem gospodarzowi odpłacali. Piast krempy, siadły, zrostu mniej jak miernego, urodnej postawy, krzątał się ze swą nadobną małżonką Rzepcą, zważając iżby drużynie jego na niczém nie zbywało.

Wtém nagła światłość błysła u podwoi, a dwóch dorodnych młodzieńców weszło do godowników komnaty, prosząc o łaskawe przyjęcie: „Idziemy z Popielowego zamku“ mówili „ale służalce z gniewem nas odepchnęli od książęcych progów. Precz włuczęgil ofuknęli, tam — na śmieciach wam gospoda, nie u Popielowych stołów! — A my przychodzim u was prosić gospody ... niech wasza gościnna chojność da przytułek cudzoziemcom ...“

Piast i Rzepca nachylili szlachetne swe czoła, prosząc urodne młodziany, iżby miejsca zajęli w biesiadników gronie; zasiedli, — a po Piastowych komnatach zaległy obfitość i szczęście. Wypitych miodów, spożytych pokarmów wtrójnasób przybywało; aż zdziwieni biesiadnicy na ucho sobie szeptali: „to te nadobne dzieciuchy, takie wniesli cuda do Piastowej chaty!“ —

Legł Popiel od karzącej zbrodnie bogów prawicy, a na kruświckich rozległych błoniach, zebrał się Lud sławiański, iżby nowego obrać sobie pana. Dużo pod zesłym ucierpieli rządem, iżby skoremi być mieli

w wyborze. Tymczasem przeładowana Ludem okolica, głodem zagrożona; spory możniejszych rozdzieliły zdania, i zaszczyły między bracią oręż. Jędza niezgody siadła na wieżach przekłętą kruświckiego zamczyska, i syciła swe ślepie falą gopłową, którą krew bratnia zarzuciła czerwono. Upokorzone sąsiady z dumą karku unieśli; a im którego więcej oręż lacki poniżył, tym mściwiej rzucał się teraz ku zgubie nienawistnego sobie plemienia. W tak smutnej doli ręka jeno bogów, ocalić była zdolną Lud lacki od zguby.

I znowu Piastowa gospoda stanęła dla wszystkich otworem: radne pany oraz Lud mnogi, swoim on karmił mięsiwem, swoim napawał miodem; kiedy owi nieznani młodzieńce, do domu jego przyszli znów w gościnę. Już teraz każdy cudu był świadomy, kiedy nasycone tysiące, nie robiły uszczerbku w pokarmach ani napojach. Korny Lud upadł przed świętym młodzianów obliczem, okrzykując Piasta swym księżciem i wyznając, że widać bogowie sami za pana im go naznaczyli. Posłańce boże przystroili Piasta w monarszą szatę, a woń niebiańska roztoczyła się wokół.

Ze szlachetnego Piastowego oblicza, błysnęło ziomków uszczęśliwienie, a na święte czoło jego, wstąpiła chwały jutrzeńka, która nad pokoleniem całym długie wieki przejaśnieć miała. Bo dwaj anieli zstąpili na ziemię Lecha, iżby ją w raj zamienić; gdyż polecił Pan, nad wszystkie wynieść Lud swój nowoukochany;

Bóg — który poglądał na świat okiem zagniewaném, odkąd Izraela plemie chańbą się okryło.

I anieli mówili do Ludu, który Bóg powołał do wysokich przeznaczeń, który on umiłował, jak kocha ojciec pierworodne swe dziecię:

„Skończą się dni ucisku waszego, dni ciemności, a Bóg was wezwie do chwały, i blaskiem wiary oświeci.

Pokolenie z pokolenia płynąć będzie, — a wnuki wasze wyrosną w olbrzymy.

Gdy was wyniosą — sława i cnoty, obejrzą się nieprzyjacioly wasze i powiedzą: O, jak my nikczemni!

A Bóg sam się ucieszy weselem bożem mówiąc: Ta latorośl ze szczepu Ludzkości całej, najbujniej mi wyrosła.

I wystawiać was będzie na rozliczne próby; gdyż On doświadcza prześladowaniem, miłości swych Wybranych dzieci.

Otoczy was nieprzyjaciolmi: lecz wszyscy wam nienawistni, będą i Jego wrogami.

Władzca wasz, świata nieznany z początku, stanie się głową i patriarchą szczepu, który rodzić będzie same bohaterzy.

A jego rodzina rozplemi się na tysiączne meże, a każda głowa szczepu jego, koroną strojna będzie.

Rzuci przed wami Narody — uwielbienie lub trwoga; i zebrać będą iżby wasze meże były ich panami.

Pragnęlibyśmy, najmilsi! wieczne wam zwiastować szczęście; ale jeno sam Bóg pisze w przeznaczeń księdze:

On — swe złote charaktery potąd jeno nam odczytał, pokąd Piastowej rodziny; ale wielkość wasza ma być trwalszą jak jego plemię.

Pomnijcie tedy, o bracia nasi! że nie jedna wasza ziemia, jest pod rządem Wiekuistego;

Milijony Ludów i wieczność jeszcze cała, pod Jego zostają władzą, a najwspanialsza swoboda — panuje w wieczności!

Pan chce was uszczęśliwiać i na ziemi, — a jeno występki wasze wydzierać wam będą szczęście, i odwracać od was Jego oblicze...“ —

Głos anielski płynął jak słońca promienie, w których igrają Cheruby; a lackie pokolenie poilo się nim, jakby nektarem który siąknął w krew ich, i miał wyradzać na bohaterzy. Petem jasność nadziemska ogarnęła Piastową gospodę; z aniołów opadło cielesne odzienie, — rozpostarli piękne swe skrzydła, malowane w tęczy kolory, woniejące ich włosy w pierścienie się rozwiały, a skronia ich nad ziemią jakby dwie jutrenki błysnęły.

Wszystek Lud kruświcki, licznie pod ów czas z okolic zebrany, patrzył na to cudu zjawisko, wszyscy, na kolanach, z pochyloném czołem, w milczeniu

i pokorze, zapisywali w swych sercach, to święte z Bogiem chwały własnej przymierze.

Kruświcki zamek został pustynią, zamieszkały go jeno puszczyki i zawistne polskiej chwały duchy. Piast cnotliwy przeniósł swą stolicę do starego grodu Gniezna, i z Lechowego tronu, jał wydawać zbawienne rozkazy. Koił swych ziomków rany, przez długie a ciężkie zadane klęski; robił ich cnotliwymi przez pracę, pożytecznymi Ludzkości przez róltnictwo, bogobojnymi przez podniecanie światła rozumu.

Sąsiedzi widząc Piasta jak rządnie swém władą plemieniem, jak szlachetne uczucia w serca swoich szczepi; wysoki szacunek ku temu władzcy powzięli. Świętopelk król Morawii, oświecony już wówczas blaskiem wiary objawionój przez Boga człowieka, ogłosił się z przyjaźnią dla Piasta, lubo jeszcze pogańskiego książęcia. Świętopelk poczytywał sobie za chlubę, mieć bogobojnego Piasta przy boku swoim: a na uczcie przez siebie wydanój racząc liczne książęta, lackiego tuż przy swoim usadowił tronie; kiedy Borzywojowi czeskiemu wskazał miejsce u jego podnóżka, że jako poganin za pan brat zasiąść z nim, nie był godzien.

Patriarcha Piast lat sto dwudziestu wieku dożył; długo on panować musiał, będąc przez Boga naznaczonym, do usłania szczęścia swojego plemienia. Do otatnich dni swego żywota, krzątał się on starannie za swą małżonką szlachetną, około dobra powszechnego;

POLSKA OCHRZCZONA.

Ziemiowit, Leszek IV., Ziemiomysł, jeden po drugim Polakami rządili; syn po ojcu następował, a każdy posuwać się starał państwa granice, co raz to głębiej w nieprzyjacielskie kraje. Najbogatsze były niemieckie ziemie, tam się tedy Polska szerzyła, i aż o brzegi Odry miecze swoje oparła: wypędziła ztamtąd najezdniczych Komesów i Grafów do zaodrzańskiej ziemi; tym sposobem wszystkie sławiańskie Ludy aż po Odrę, Polską się nazwały, i odetchnęły swobodnie.

Ziemiomysł miał jedynego syna Mieczysława, następcę do tronu, ten od urodzenia był wzroku pozbawiony; a Lud lękając się wcześniej zamieszek jakie

z niedołężności pana spaść kiedyś na Naród miały, Mieszkiem go nazywał. Ale Mieszko w dorodnego wyrastał dzieciucha, a w siódmym roku odbywszy postrzyżyny, wzrok cudownie odzyskał i trwogę Ludu uśmierzył.

Wielka panowała cisza, kiedy Ziemiomysł umierał. Naród był zwycięzki, możny, miał już zdolnego do tronu następcę, nie trwożył się więc o przyszłą swą dolę: oddawszy ostatnią posługę panu zmarłemu, zajął się ustaleniem władzy nowego.

Były to właśnie wiosenne czasy, kiedy Lud mnogi zbierał się do Gniezna, uroczyscie Stad obchodzić, nieść bóstwom swoim ofiary, a szczególnież Ziemiennikowi Wajdeloci w białe przybrani szaty, stanęli na lechowej górze, kędy gontyna Nii była otworem. Piękne miasto Gniezno na dole rozpoztarte leżało jakby kobierzec jaki, a okoliczny gaj święty napelniał się Ludem do świątynicy spieszącym. Rozlegały się po lesie harmonijne pobożnych pienia, z ptasząt kwileniem zmieszane, przerywane jeno niekiedy rykiem dzikiego zwierza, który jakby zbrodniarz w świątyni, swobodnie w onym przebywał lesie.

Mieszko zasiadł na wywyższoném miejscu, a przy jego podnóżku siedm nadobnych dziewic, zwracając swe oczy w postać męża dorodną, na cześć Krasopani uroczym głosem pienia nocy. Wajdeloci zaczęli ofiary, a Lud wszystkim uszczęśliwiony widokiem sędzi-

wego Wajdeloty swojego, który aż z Biało-Chrobacyi od Świątyni Lela i Polela z licznym tu przybył ludem, wydawał radosne powitania okrzyki.

Proszono tedy, kornie nachyliwszy czoła, naprzód, aby Prowe bogobojnego lackiego plemienia, nigdy miłować nie przestawał. Potém modlili się Wajdeloci, a Lud za nimi każde powtarzał słowo:

„O słowaccy bogowie! nie wypuszczajcie nas nigdy ze swój opieki, przebywajcie w tych świętych gajach, których dla was pilnie strzeżem od skażenia.

Pobłogosław nam Ziemniniku! a uczyn' izby nasze plony obfite były. Puszczeluz, z całym orszakiem Kolttek, dla których po świętym gaju liczne bży pielęgnujemy, wstaw się do Prowa za nami!

O Marzano i Krasapani! dla których płasają Mizgusiek chóry, przyczyn'cie nam rozkoszy i szczęścia.

Tobie Czerneboguz! składamy także ofiary, izbyś nam nie szkodził i nie martwił dobrego Prowa.

A ty Flinsiel! bądź téz sprawiedliwym, i niech po śmierci cnotliwych nie mija nagroda.“

Lud pobożny cisnął się do Nii świątyni, izby co najrychlej ujrzeć swych bogów oblicza, które jeno w tym dniu uroczystym były bez zasłony. Składano ciałopalne ofiary, jako to: z każdego rodzaju zboża, wonne kwiaty, i krwią je skrapiano zwierzęcą. Uniosły się wonnego dymu kłęby, ofiary najmilszej dla Pogody i Pośwista.

Sędziwy Wajdelota ukazał potem nowego Ludowi pana, a ten go przyjął z okrzykami i weselem. Przeciągły się tego święta zabawy aż do późnej nocy; już światło słońca błysnęło, a jeszcze po świętym gaju, rozlegały się rozkoszne śpiewy Mizgusieli i swobodnego Ludu.

Mieczysław plemienu swemu łagodnie panując, wabił do siebie i z obcych Narodów wielu: kwitnęło rolnictwo, krasily się miasta, do których mnogo nabiegało Luda.

A było, że Ludy zamilowane w bałwochwalczej wierze, nasycając wszystkie cielesne swe żądze do woli, czuły jeszcze w Duchu wielkie pragnienie. Byli oni lubieżnymi, dla czei swych bożyszczy, a stając się bogobojnymi, — na siłach niszczeni. Wtedy Duch zaczął się o swoje dopominać prawa, i uznano że to niedoskonałe bogi być muszą, które nic nie czynią dla Ducha. Ale była już indziej wiara boża, duchowa, co ogarniając ziemską rozpustę, nadawała moc wielką Duchowi; która nie wydzierając ludziom ziemskich rozkoszy, nie pozwala im cielesnym wycieńczeniem, władzy duchowej niweczyć. Ona rozkosz człowieka silną otaczając tamą — cnotą, nie dawała się mu odrywać od tego łańcucha, który Bóg ze swój snuje prawicy, złotemi ogniwami Wieczności. Taką zbawienną religję, — Chrystus na ziemi zaszczeplił.

Mieczysław, lubo poganin, już Chrystusa sercem

wyznawał, broniąc uciśnionej niewinności, uszczęśliwiający prawych spółziomków. Morawja oświecona blaskiem wiary Chrystusowej, w znamienite zakwitła cnoty; lecz ręka Boża, znowu ciężko tę ziemię dotknęła, zsyłając na nią dzikich Hunów hordę. Zaczęły się męczeństwa, krwią wybranych przesiąkała morawska ziemia, a szczęsnym się mógł nazwać kto ubiegł z życiem do cudzej krainy. Gromada morawskich pątników, z wynędzniałym obliczem, ze wzrokiem ku niebu wzniesionym, padła przed Mieczysławem, zebrząc o przyjęcie łaskawe. Polak zawsze był gościnnym, — nie odmówiono schronienia nieszczęśliwym. Rozgościwszy się w Krakowskich murach pątnicy, stawili sobie chrześcijańską świątynię; w niej co wieczór i rano Boga śpiewem błagali; wnieśli tam obraz Syna Człowieczego i Matki Dziewicy, a nad świątynią zatknęli krzyż dwuramienny, godło śmierci Zbawiciela.

Mruczeli Wajdeloci, ale pan dla cudzych był dobrym; burzył się Lud przez pogańskich poddawiany kapłanów, że pan nazbyt łaskawy Czernebogom w grodzie rozgościć się pozwolił, proszą Perkuna, iżby dał upamiętanie Mieczysławowi, aby ten wrogowi bogów nie pochlebiał. Ale Mieczysław, jakby urzeczony, w gronie pątników gościł mile, a jak stary Wajdelota powiadał, słuchał Czernebogów pacierzy, kiedy w swiej świątyni modlili się do Boga Człowieka.

Mieczysław otoczony swoich nadobnych lubieżnic

gronem, rozkoszą się przesycił; a nie było przecież nadziei, iżby po sobie zostawił nowego Ludowi pana. Wajdeloci bogów o następcę błagali; — a pątnicy grozili, że pan świata zsyła widoczną karę na rozpustny żywot książęcy. „Powstań królu!“ mówili „z lubieżnego żywota, a Bóg uszczęśliwi cię potomkiem: grzechy twoje pogańskie, karę Bożą sprowadziły.“ — I powiadali Mieczysławowi, o jednej, wszechmocnej Istocie, która wszystkie światy wywiodła z nicstwa: a umysł jego zwikłany w Wajdelotów o bożyszczach pogańskich powieści, mile słuchał głosu pątników.

Noc majowa przesłaniała Gniezno czarną pomroką: nie była to z tych pogodnych nocy, co przy technieniach wonnego Poświstu, przyjemne myśli wlewają w duszę; nad miastem czarna wisała chmura, rozjaśniana niekiedy piorunów błyskiem. Deszcz ulewny huczał po ulicach, a jęki i płacze rozlegały się po domach.

Wielka gontyna Nii stała otworem: Wajdelotki z rozłarganym włosom, w szatach uwieszonych w nieładzie, jęki boleści wydawały przed świątynią. Ciemno było przed ołtarzem; wygasł nieśmiertelny ogień, — straszne hasło ludu całego niedoli! Przemokli Wajdeloci biegli od domu do domu jakby zapamiętali, buntując Lud opowiadaniem, że Mieczysław zwiósł sobie czeską dziewczkę na żonę, czeskich sprowadził

ofiarników. Ci poniszczywszy wszystkie lackie bogi, wytną święte gaje, a zaprowadzą cześć Czerneboga. Tymczasem Mieczysław buntu świadomy, mnogie strażę porozstawiał na ulicach, iżby co burzliwszych chwytałi.

Słońce błysnęło świetnie z Gopłowej fali, która nocną wezbrana ulewą, zdała się być spanialszą i piękniejszą jak zawsze. Miasto zaległo w milczeniu głuchém, jakby do grobu całe zstępować miało. Niedaleko książęcego gmachu, stał piękny, ale jeszcze szczupły kościółek wyznawców Chrystusa; teraz dzwicznie zagrzmiały dzwony na jego wieżycy, a wychylone słońce krzyż kościelny pozłociło. Kilkunastu czeskich kapłanów wyszło ze świątyni, i zanucili hymn na cześć Boga Rodzicy. Za nimi postępował w monarszym blasku Mieczysław, mając przy swoim boku nadobną Dąbrowkę, otoczoną dziewic i panów czeskich gronem; dalej szedł silny oddział straży książęcej, który przez całą drogę, aż do gontyny Nii gaj święty pokładał mostem. Przed Gontyną, już zebrani Wajdeloci i Wajdelotki, tarzając się po ziemi, wydawali boleści okrzyki. Z ich grona powstał jeden, jakby jakowe pogańskie bożyszcze, siwobrody starzec, ów Lela i Polela Wajdelota: a stargane jego włosy, na śnieżną szatę w brudnych spadały kędziorach. Jedną ręką tulił do łona posąg Prowa, drugą obejmował dąb święty, odwieczny, gontynę ocieniający. Na

jego obliczu, znać było fanatyzm, dzikość i żądze zemsty zapamiętała. Zwracając on pałające od gniewu na Mieczysława oczy „Przeniewierczy władzco!“ wykrzyknął: „czy tu przychodzisz po głowę moję? Sprowadziłeś Czernebogi na gontyny nasze, izby Lud niewinny wydrzeć Prowemu. Niszczysz słowackie bogi, które nam tyle szczęścia zsyłały! Ja — dla nich jeno cześć poprzysiągłem, więc nie przeżyję ich chwały. Jeśli twój bóg nowy sprawiedliwym jest, uzna, iż byłem niewinny miłując bogi moje, Lud mój, — a nie nawidząc ciebie!“...

Domawiając słów ostatnich zagniewany Wajdelota, rzucił się na ziemię z rozpaczą: a wtém przez czeskie kapłany podcięty dąb odwieczny, — przedmiot bałwochwalczej cześci, runął z łoskotem, i rozłożystymi konary przygniótł czolgającego się Wajdelotę: Lud cały zajęczał żałośnie, widząc zniszczone dwie najsilniejsze wiary swój podpory.

Wnet nad Nii świątynią godło odkupienia zajaśniało, a pogańskie bożyszcza, ulatywały ze świętych gajów, płoszone licznych toporów łoskotem. Śpiewające Bogunki zatonęły na Gopłowém bezdnie, rozpierchły się opiekuńcze Koltki; a z drzew pogańskiego gaju pociosane krzyże, rozpostarły wybawcze ramiona nad laską krainą.

Wyrzucono ze świątyni Nieśmiertelnego ognia popioły, rozpędzono Mizgusie, ołtarz Krasopani zniszczo-

no, a w miejscu jego zawieszono obraz Boga-Rodzicy, przed którym cnotliwe dziewice, zaprzysięgły czystość dozogoną, Najświętszej Niepokalanej Pannie.

Lud ciemny, który dla uwielbienia swych bożyszc, na wszelką dotąd wylewał się rozpustę, stanął teraz czystym jeniuszem, — Ludem aniołem; a nowemu swemu Bogu, serca nieskażone, składał na ofiarne ołtarze.

Święta Dziewica, — Rodzicielka Boga Człowieka; który ludzkiego Ducha do nieśmiertelnego powołał żywota; na Lackiego plemienia zasiadła tronie, stając się celem uwielbiań ukochanych swych dzieci.

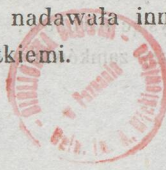
Nadeszła uroczystość Stada, a Mieczysław Chrześcianin ze swą Dąbrówką, pełną cnót małżonką, nawracał Lud mnogi; który odbierając ze Chrztu zbawienie z rąk czeskich kapłanów; poniszczył dawne bożyszcza, na bezdnie Gopłowej pograżając je fali.



PRZYPIŚY.

Do Klechdy pierwszej.

Ziemia, którą osiada teraz naród Polaków, ten szczerp najpiękniej okrzęsany z całej Sławiańszczyzny; długi czas zamąconą była już to przechodami hord dzikich, jak to: Germanów, Gotów, Wandalów i Hunów; już odłamami Ludów, jakie po upadku zachodniego państwa Rzymskiego, na jój łono spadały. Co do prawdy najpodobniejszym, iż Sarmaci (szczerp ze Scytyjskiej hordy) przybywszy z nad brzegów kaspijskiego i czarnego morza, tu osady swoje założyli. W kilka dopiero po Chrystusie wieków, osadnicy ci niepokojonymi zostali przechodami hord wyżej pomienionych; a zawsze najsilniejsza, nadawała innym swoje nazwisko, panując nad wszystkiemi.



Dziejopisowie, w kilka wieków po Chrystusie żyjący, naznaczają już hordom tym pewne posady i nazwiska, wszystkie obejmując ogólnemi imionymi Sarmatów i Scytów, a do ostatnich, Niemców (Germaos) nawet zaliczyli.

Cała ta klechda opiewa rozpościeranie Sławiańskiego plemienia; nazwiska zdoła sobie wyjaśnić czytelnik, udając się do jeografii dawnego świata. Jest ona naśladowaniem wiersza powszechnie znanego: As-sarmot syn Jektona, praprawnuka Sema, praszczur Noego, narodów sarmackich patriarcha, przyszłym pokoleniom, w duchu wieszczym błogosławi:

„Dzieci, już was Senaru nie mieszczą płaszczyzny,
Świat wam drogę otwiera do nowej ojczyzny;
Już dzierży dział swój Hama i Jafeta plemie
Ja wam spadkiem północne przekazuję ziemie.

Gdy więc jak gwiazdy niepoliczeni,
Sercem, językiem, z sobą spojeni,
Krawędź dwóch światów zabudujecie,
Postrach z szacunkiem swym rozniesiecie;

Te ode mnie w dziedzictwie miejcie święte prawa:
Cnota waszym żywiołem, a rzemiosłem sława. —

Jeszcze te oceany, rzeki i górzyska,
Oznaczonego przez was nie noszą nazwiska;
Wy im szeroko głośne nadacie imiona,
na nich wyźłobicie swych czynów znamiona.

A rozrojeni w tysiąc narodów,
Tysiące wzniosłszy zamków i grodów,

Wspólnego rodu nie zabaczajcie,
 Wzajem się bratnią dłonią wspierajcie;
 Jednego ojca dzieci, jedne miejcie prawa:
 Cnota waszym żywiołem, a rzemiosłem sława. —

Jednych was zajmą Tauru i Kaukazu skały,
 Drugich — Oby źródliska, i ryfejskie wały,
 Tych rozgnieżdżą jeziora żyzne meotyckie,
 I zatoki kaspijskie i brzegi pontyckie;

Owym poruczy brama Tryonu,
 Sturzecznym strumień Wołgi i Donu,
 A wy górami, morzem przecięci,
 Wiecznym braterstwa nitem ujęci,
 Jednego ojca dzieci — itd —

Toż kiedy swój gwiazdowej niesyci siedziby,
 Polubirwszy Urappy zbożorodne skiby,
 Niechamownego Jetru dumny grzbiet stłoczącie,
 I groźne Hesperydów proporce utkwicie;

Jako ten Eufrat nowo rozlani,
 W nowe imiona poprzeradani,
 Twardzi chowańce północnych zorzów,
 Ściśnięcie brzegi południowych morzów;
 Pamiętajcie i wtedy na ojcowskie prawa: itd. —

Nie zawściągnie was dumny oręż światowładców,
 Zwycięzcy tylu Ludów ujrzą swych zagładców;
 Wy świat przez nich okuty z kajdan rozkujecie,
 gniazdo ich oszczepem stalnym rozorzecie.

A z roztraconych złomków ich dumy,
 Wywiodłszy nowych narodów tłumy,

Gdy z nimi głośne państwa zakładać,
I ich losami będziecie władać;
Pamiętajcie i wtedy na ojcowskie prawa itd. —

Lecz nie w samym orężu, sława jest i cnota,
Własne cechy mieć winno plemie Assarmota;
Niech się ich nauczają od was obce Ludy,
Jak słodkie dla wolności zapasy i trudy.

 Że ona pierwszym porankiem czleka,
 Którym go Twórca natchnął od wieka.
 By będąc godnym wieczności synem.

 Z woli, nie z muśu swym władał czynem;

Że się od niej zrodziły te Sarmatów prawa: i td. —

Uczcie ich jako miłość ojczyzny jest święta,
I winnym dla niej długiem śmierć, więzienie, pęta;

Jak zwyciężonym krzywdy szlachetnie darować,
Słowa, wiary, sojuszów najświęciej dochować;

 Przed gościem serce i duszę wylać,

 W kajdanach nawet karku nie schylać,

 Gardzić rozkoszą, trudu nawykać,

 Wielkością duszy nieba dotykać.

Jak ze krwią w dzieci przelać te niezmiennie prawa: itd. —

Niechaj tam Tubalkajna, Jawana praszczury,
Chlubią się dociekniemieniem przemyślném natury;

I trwożną łodzią zyski u śmierci kupują,
I łakocią bawideł płoche serca trują.

 Niachaj się drudzy pędzlem wślawiają

 W ciosany marmur duszę wlewają;

 Lub rozkopawszy wnętrzości ziemi,

 Frymarczą kruszczem i dziećmi swemi;

Dla was jedne zabawy, nauki i prawa: itd. —

Ta jedna was od innych Ludów wyosobi,
 I przyrodném Słowaków imieniem ozdobi;
 Z tych, jeden Lud zakwitnie w laury znakomity,
 Co z morzem wenedyjskiém żeniać Tatrów szczyty,
 Od puszczy herecyńskich, na brzeg Euksynów,
 Przerzuci brzemie walecznych czynów,
 A gdzie zachodzi i wschodzi słońce,
 Rozeszle głośnie sławy swój gońce;
 I szczyrbcem na granitach zakreśli te prawa: itd. —

Tym ja dziełom ni kresu, ni granic stanowie,
 Znać ich będą przy osiach świata Laponowie;
 Dwanaście wieków chwały w ich budowę wsięknie,
 I dwanaście Narodów przed nimi uklęknie.
 Na ich poległą lennicy wierze,
 Skupią się Ludy pod ich przymierze;
 A kto ich gruntu dotknie się nogą;
 Przeistoczony wolnością drogą;
 Opiewać słodko będzie te sarmackie prawa: itd. —

Toż postronni królowie z mężnemi Narody,
 O chlubne ich zaszczyty idźć będą w zawody;
 Bądź na ich łonie spocząć, bądź bronią przewodzić,
 Bądź z nimi się pobratać, lub ze krwi ich rodzic.
 Oni sąsiednie państwa z stolicą,
 Dźwigną z przepaści dzielną prawicą;
 A syci z siebie szczęścia i chwały,
 Wskażą szacunek za trybut cały.
 Oni waszym prawnukom przypomną te prawa: itd. —

Oni później... — lecz jakież pomrok mię zamroczył...
 I dalsze przeznaczenie mych dzieci przytłoczył!
 Klechdy.

I słońce się przyćmiło... nie trwóźcie się dzieci!...
 Prysna chmury przechodne, a słońce rozświeci.

Ród Assarmota nie przeplemiony,
 Na końcach ziemi z sobą złączony,
 Sercem, językiem, wychowem dzieciak,
 Ludów i świata przetrwa ostatek,

Póki tylko miłować będziecie te prawa:
 Cnota waszym żywiołem, a rzemiosłem sława.“ —

Do użycia w klechdach moich stylu potoczystego, miarowego, spowodowała mnie ta uwaga, iż człowiek żyjący w stanie przyrodzonym, ma w swój mowie śpiewność pewną, ustawiczną; czego liczne znajdziem przykłady.

Mylą się więc utrzymujący, że poezja jest wyłamaniem Ducha w swerę nadprzyrodzoną. Owszem, — weźmy księgi proroków, świętą naukę Chrystusa, wszystko tam tchnie poezją, a jak wszystko jest naturalne! Mowa ludzi wychowanych w stanie natury, jest wyraźnym śpiewem. Voltaire w jednej z powieści wystawia swego bohatera, schwytanego przez dzikich Indjan, tchnących nienawiścią ku Jezuitom, którzy z mieczem w rękę lub na turturach nawracać ich usiłowali. Tym sposobem, ku nauce zbawiennój Chrystusa, dżicy takiego nabyli wstrętu, że zjadali jój opowiadaczy; zjeść zaś człowieka, było u nich zemsty oznaką. Schwy-tany nieszczęśliwy był już uroczyście niesionym do wielkiego kotła, w którym miał być ugotowany; a

w Indian tłumie brzmiał śpiew poważny, monotonny! „Zjemy Jezuitę, zjemy Jezuitę, zjemy Jezuitę!“ Lecz skoro ofiara ich zemsty, przekonać ich zdołał, że nie jest Jezuitą, natychmiast przywrócili mu wolność, śpiewając znowu: „Nie Jezuita!“ z tą samą powagą i tonem.

U Ludów żyjących w stanie przyrodzonym, zjawiają się jeniuse, które bez żadnych pomocniczych nauk, opiewając jedynie same przyrodne uczucia; znamienite poetyczne okazują talenta. Na tysiąc blisko lat przed Chrystusem, pewien indyjski poeta, nazwiskim Walmiki, nauczywszy się pisać, utworzył bohaterские poema Ramajana: mamy z niego wyjątki w języku polskim przekładu Ignacego Kałakowskiego.

Do Klechdy drugiej.

Już prawda jest niezaprzeczoną, że wszyscy Słowianie żyli początkowo pod republikańskim rządem. W ich dziejach nigdzie doczytać się niemożna nazwiska księżęcia, a tem mniej króla. Jest jedna wzmianka u autorów, że Bani czyli mieszkańce Rugii wyspy, mieli swoich królików, ale tych władza tak była ścieśnioną, iż większe od nich hołdy odbierali kapłani, niż ręce berko trzymające.

Prokop mówi, iż Słowianie rządu arystokratycznego używali.

Menander powiada: „Posłał Chagan wódz Awarów, do Wawrzyńca wodza Słowaków, i do tych, którzy w tym Narodzie pierwszeństwo mieli, iżby woli się jego nie sprzeciwiali, dań mu płacili, i z nim byli sprzymierzeni. Wawrzyniec i pierwsi z Narodu odmówili, dając za odpowiedź postom: zwykliśmy cudze zajmować kraje, nie zaś sami być w poddaństwie, a póki będą miecze i wojny, póty i panowanie przy nas być musi.“

Konstantyn Porfirogenit pisze o Sławianach: „Nie mają te Narody książąt, prócz zwierzchności starców.“

Potwierdza to dawniejszy od Konstantyna Prokop: „Sławianów Narody“ mówi „nie mają nad sobą jedynowładzcy, lecz od dawnych czasów w gminnej i powszechnej wolności żyją, a sprawy narodowe, bądź pożyteczne, bądź trudne, do powszechnej rady przynoszą.“

A. Naruszewicz dodaje: „Jakoż nie widzieć w zadnym pisarzu, ażeby przed osmym wiekiem, i przed rozpoczęciem wojen Franków ze Sławianami dla ich pognębienia, mieli oni nad sobą jakich książąt panujących. Owszem, była to u nich gardłowa sprawa, jeśliby który z obywatelów, rząd wolny chciał w monarchię zamienić.“

Pokazuje się z tego wszystkiego, iż Lech nie był

dynastycznym władzcą, ale tylko siła i zdolność bronienia plemienia swego, wodzem go uczyniły; przecież zarząd główny zawsze do kapłanów i starców należał.

Bogufał i społeczny mu kronikarz czeski Dalemił, spominają często o Lechitach, twierdząc, iż oni są tym samym co i Polacy Narodem, i że Pannonja jest matką wszystkich sławiańskich Ludów. Jakiś Pannon, idący od Jafeta, miał trzech synów: Lecha, Czecha i Rusa, którzy dla niezgód i rozrodzenia się, opuściwszy swą rodzinną ziemię, stali się założycielami trzech państw pobratymczych. Lech tedy z całą swoją rodziną wyszedłszy z Chorwackiej ziemi (Kroacyi) wyblakawszy się przez czas niejaki po ciemnych lasach, trafił na rozległe płaszczyny, których położenie zamilowawszy, rzekł do swoich towarzyszy: „Gnieźdźmy się tu.“ — i miasto Gniezno na owém miejscu założył.

Nie będziemy się upoczywie upierać, iżby nazwisko Lachów, a następnie Polaków, koniecznie od Lecha pochodzić miało; ale (nie ubliżając powadze Naruszewicza) powiemy tylko, że naród, zowiący się oddawna Lachami, mógł mieć także wodza Lecha nazwiskiem.

Wywodzenie imienia Lachów od Lazów *) hordy

*) Do dziesiątego wieku ery chrześcijańskiej, w którym to czasie pisał Konstantyn Porfirogenit, mieli swe osady w Azyi

scytyjskiej czyli sarmackiej, między morzem Czarném a Kaspjijskiem zamieszkałej, najrzetelniejszém nam się być zdaje. Spominają o niej Herodot, a później Strabon kładzie tych Lachów czyli Lazów między górą Kaukazem i morzem Czarném.

Kiedy świat cały barbarzyński na Rzymiany wyruszył, musieli zapewnie być tam i Lazowie z Hunnami, tylko osłonięni Alańskiem nazwiskiem. Po zniszczeniu zachodniego Państwa rzymskiego, część hordy alańskiej, na naszej ziemi osiadła; a zachowując swój obyczaj rodowy i mowę, Lazami (Lachami, Polakami) się przezwali.

Druga połowa Lazów, która pozostała na rodzinnej ziemi, między Czarném a Kaspjijskiem morzem, zachowała także aż do naszych czasów, swe rodowe nazwisko: kędy niegdyś była Kolchida, a dziś jest czerkaska ziemia, istnieje dotąd pokolenie Lazów, Lezginami od innych Czerkasów i Moskali przezywane.

Najoczywistszym tego dowodem, iż Lachowie od azyjskich Lasów wzięli ród, a z nim nazwisko, będzie przytoczenie zdania sławnego Brewerod: „Sławiański język“ mówi on „narodom w Europie, a niektórym w Azji jest pospolity. Rusini i inni Sławianie, nie mają litery

Lazowie. Może oni nawet nazywali się Lacami lub Lachami, tylko Grecy, niemając litery *c*, a kładąc za nią *z*, Lazami ich przezwali.

h samotnie, ale ją wyrażają z literą c. Tak mówią Czerkasy, Chazarowie i Mingreley. —

A na potwierdzenie tego mówi Naruszewicz: — „Nie można mniemać, iżby Czerkasom i Mingrelczykom, było powodem do mówienia językiem sławiańskim sąsiedztwo z państwami ruskiemi lub handel z niemi. Był to niewątpliwie język pospolity, od najdawniejszych czasów właściwy nietylko Rusinom, ale i wszystkim krajom scytyjskim czy sarmackim, które się od Kaspjskiego i Czarnego morza, aż do północnego oceanu rozciągały.“ —

Lazowie azyjscy (Lazgini) zostali przy rodowym języku swoim i obyczajach, a może też kształcili się na wzorach perskich, sąsiedniego sobie Narodu; Lazowie europejscy (Polacy) kształcąc się na wzorach włoskich, wydoskonalili swój język, poprawili obyczaje. Dziwić się więc nie należy, iż dziś, u tych dwóch Narodów, jakkolwiek pobratymczych, trudno by dojrzeć rodowego podobieństwa. Ale baczniejsze zapytrwanie się na dwóch tych Ludów charaktery, łatwo odkryje, że jest jedno widoczne, rodowe, dla obu wspólne znamie, a niem, jednakie wolności zamiłowanie; uczucie to bratnie, w ich sereu wieki przetrwało.

Do Klechdy trzeciój.

Jak długo Lech panował, co znamienitego w pokoju i wojnie zdziałał, jakieby potomstwo zostawił? — milczą dzieje. Powiadają jednak, że długi czas potomkowie jego panowali, a to tym sposobem, że najstarszy z rodu, za zgodą Ludu dobrowolną, władzę otrzymywał. Bernard Wapowski pisze, iż potomkowie Lecha około 450 lat w Polsce rządili, prawie do roku 1000. od narodzenia Chrystusa.

Następnie pisze tenże Wapowski: „I na morzu także próbowali szczęścia dosyć pomyślnie Polacy. Wystawiwszy bowiem flotę, a przebywszy odnogę wenedyjską czyli bałtycką, — Rugiję, Feonję i inne niektóre wyspy Duńczykom zabrali. Naostatek pod wodzem Wizimirem, jednym z potomków Lecha, Sywarda Duńskiego króla na morzu zwyciężyli; proszącemu pokój udzielili, characz na niego nałożywszy; dwie zaś córki jego Jucję i Skanję, jako branki, jedną Norwegczykom, drugą Niemcom zaprzędali: a syna Sywardowego Jarmeryka, w więzieniu osadzili. Wizimir tedy w niewolnika obfitujący, dwa nadmorskie założył miasta: a z tych, jedno Wizimirą (Wizmar) od własnego nazwał imienia; drugie Dantyskiem (Gdańsk) na pamiątkę zwycięstwa nad Duńczykami.“ Tenże Wapowski przydaje: „Syward niewolą znie-

cierpliwiony, podniósł miecz przeciw Wizimirowi i w walce poległ.“

Wapowski, (jak Naruszewicz utrzymuje) historją swoją wyciągnął z kronik Duńskich, ponieważ czytamy w Grammatyku Saksonie, że za panowania w Dacyi króla Sywardanii, jakiś królik sławiański, nazwiskiem Ismarus, po stoczonój z Duńczykami bitwie, poraził tego księżęcia, odebrał mu Gutję i Skarję, część mu tylko państwa, pod obowiązkiem haraczu zostawiwszy. Tenże Ismar córki jego w niewolę zaprzedał, syna Jarmeryka w więzieniu osadził; który potem uszedłszy z kajdan, gdy z témiz Słowakami jednę bitwę wygrał, niezmierne z nimi okrucieństwa czynił, wielu niesłychanemi mękami pomordował, i czterdziestu z nich, w towarzystwie tyłuż wilków na szubienicy powiesił.

Tak srogie obchodzenie się Duńczyków ze swymi sąsiadami, uniewinnia Słowian, których Naruszewicz morskimi rozbójnikami nazywa. „Dla sławiańskich łotrów“ mówi on „znajdujemy w dawnych pisarzach, że morze Bałtyckie, morzem barbarzyńskiem i Wareckiem nazywano, wyrazem pochodzącym ze słowa Waregi, łotrów i złodziejów znaczącego.“

Waregowie, był jeden tylko Naród sławiański, rozbojem się trudniący: ale czyby to nazwisko nie było właściwiéj nadaném Bałtyckiemu morzu, dla duńskich łotrów i rozbojów; Duńczycy bowiem nie trudnili się niczém więcéj jak łupieztwem po morzu i są-

siednim łądzie; dla tego więc Sławianie morze to nazwali po swojemu Waregskiem.

Sławianie o tyle tylko znali żeglugę, o ile ta potrzebna była, do stawienia czoła Duńczykom morskim rozbójnikom: a będąc bitnymi, stawiali się, w obronie, zwycięzcami najezdników.

Do Klechdy czwartej.

Kadłubek powiada: „Nim Krakus pierwszy z królów polskich na państwo był wyniesionym, nie miała Polska żadnego rządcy jedynowładnego, ale rozmnożeni w narodzie mieszkańcy, żyjąc w równości, nie tak się o majątki i o panowanie nad drugimi, jako o cnoty starali.“ — Jaśniej jeszcze Bogufał rząd pierwiastkowy w Polsce opisuje: „Przed panowaniem Kraka“ mówi on „nie mieli Lechitowie żadnego króla ani zwierzchnego ksiąźęcia, żyjąc jako bracia, od jednego ojca pochodzący; lecz tylko dwunastu możniejszych z pośród siebie obierali, którzyby sprzeczki między nimi zachodzące godzili, rzeczpospolitą władali, nie wkładając na nich żadnych dania ani podatków.“

Polska dzieliła się wówczas na dwanaście prowincyi czyli powiatów, stósownie więc do tego podziału, urządzono cywilną administracją. W każdej prowincyi wybrany sędziwy starzec, wszelkiego po-

rządku dozierał: tych dwunastu rządców przystałoby raczej Sędziami nie Wojewodami nazywać. Dopiero w czasie niebezpieczeństwa i sąsiedzkich napadów, wybierano z plemienia do boju najzdatniejszego, i jemu wszelką już władzę oddawano. Taki naczelnik nazywał się wodzem wojska (Wojewodą), która władza odpowiednią była władzy rzymskiego Dyktatora.

Kiedy Lachowie w ciągłych wojnach żyć poczęli, już to broniąc własnych swych granic, już wspierając sąsiednich Sławian Narody, przeciwko obcych napadom; władza ta Wojewody stała się niezmienną, dziedziczną i wieczną. Taką władzę w nowourządzonej administracyi, pierwszy Krakus posiadał.

Zobaczmy jak wyniesienie się tego Krakusa Bogu-fał opiewa: „Za czasów króla Aswera“ mówi on „gdy Gallowie rozmaite królestwa napadali i one zdobyli, Lechici, którzy żadnego nie mieli króla, żyjąc między sobą jako bracia, od jednego ojca spłodzeni, wybrali dwunastu możniejszych i bogatych mężów. Ci sprzeczki między nimi zasze rozsądzałi i rzeczpospolitą rządzili. Lecz lękając się Gallów, jakiegoś męża walecznego, nazwanego Krak, który mieszkał około Wi-sły, hetmanem wojska (albo prawdziwiej mówiąc, według tłumaczenia Polaków) Wojewodą, jednomyślnie obrali, gdyż u nich wojewoda, znaczy wojsk wodza. Ten Krak, zostawszy Gallów zwyciężcą, od Lechitów na królestwo wyniesiony został. Zbudował on miasto,

które od swego imienia Krakowem nazwał, acz ono pierwój Wawela nazwisko miało.“

Naruszewicz zbijając to podanie, Krakusa pochodzenie innym sposobem wywodzi. —

Sławianie na kilka Ludów podzieleni, u brzegów Sawy, Drawy i Dunaju osiedli, napadnięci zostali przez nową horde, z Sarmacji azjatyckiej przybyłą, iednego rodu z Hunnami będącą, to jest, przez Awarów. Ci szerząc swoje zwyciężne zabory, samym Rzymianom dawszy uczuć moc swego oręża; przez Longobardów (których Narses wódz Justyna cesarza około roku 567. do Włoszech wezwał) uznani zostali panami Dacyi i całej Pannonii. Szerząc swoje zdobycze podbili niemal wszystkie sławiańskie Ludy, a temu losowi i Polska ówczesna uległa téż zapewnie. Awarowie Ludy sławiańskie obróciwszy na sługi swoje, do niktzemnych prac ich używali, a w boju na czele wojsk swoich stawiali; uważając ich za niktzemniejsze od siebie dusze — *tanquam animae viliores*.

Sławianie uprzykrzywszy sobie ciężką swą niewolę, znaleźli pewnego męża nazwiskiem Samo rodem Franka, ze wsi Senegago niedaleko Brukselli, który ich oswobodził. Stanąwszy on na czele wojsk sławiańskich, pokonał Awarów, a dla tak znakomitej przysługi, został okrzyknięty królem sławiańskich Ludów. Samo ten, jak utrzymują, obyczajem pogańskich Sławian, miał mieć kilkanaście nałożnic, i z nich 22 sy-

nów, a 16 córek spłodził. Historja ta o Samonie, którą Fredegarjusz pisarz osmego wieku, około roku 650. kładzie, przypada na ten czas właśnie, kiedy kronikarze u nas panowanie Krakusa opisują. Słusznie więc Naruszewicz mniema, iż oswobodzenie całej wschodniej sławiańszczyzny, mogło być tym historycznym wypadkiem, który kronikarze nasi w lackim tylko widzą Narodzie. Rzeczy nadprzyrodzone, zjawienie się smoka na górze Wawel; przypisać można uciśkom i klęskom, jakie Polacy, gnębieni przez Awarów, ponosić wówczas musieli.

Mimo to, nie stając się fanatykami, powiedzieć przecież możemy, iż są cuda na niebie i na ziemi, o jakich nie śniło się jeszcze naszym filozofom. Życie nasze materialne, nie dozwala nam dojrzeć cudów duchowych. Mickiewicz przemawia do mędrca:

„Martwe znasz prawdy, nieznane dla Ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce;
Nie znasz prawd żywych — nie zobaczysz cudu.

Miej serce, i patrzaj w serce.“

A jeżeli, sądząc rozumnie, wyższość władzy Ducha, nad władzami ciała uznamy; czyliż sobie lekceważyć będziemy myśl następną:

„Więc żadnych nie ma Duchów? świat ten bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi,
Który, lekarz tajemną sprężyną rozruszy;

Albo jest to coś nakształt wielkiego zegaru,
 Który obiega popędem ciężaru?
 Tylko nie wiecie kto zawiesił wagi?
 O kołach o sprężynach, rozum was naucza,
 Lecz nie widzieje ręki i klucza!
 Gdyby z twych oczu ziemskie odpadło nakrycie,
 Obaczyłbyś niejedno w koło siebie życie,
 Umarłą bryłę świata pędzące do ruchu.“ —

Wszchemocna ręka wywodząc z nicestwa jestestw miliony, już ich tysiące zagrzebała w nicestwie; a nowych jeszcze nieznanych znowu jeszcze wywiedzie tysiące. Nie wierzymy w istnienie smoka krakusowego, temu iż dziś mamy przed oczyma, smoka — żyjątko niewinne, nikczemne, żadnej szkody ludziom wyrządzić niemogące.

Wyjaśniając Kadłubkowe podanie o smoku, twierdzi Naruszewicz, że wziętém było z dziejów duńskich, o czem tak mówi: „Podobniejsza do prawdy, że ten smok mniemany, był to łotr i najezdnik niejakiś, nazwiskiem Wizin, którego za panowania króla duńskiego Frotona IV. sławny ów wielkolud, a obyczajem wieków dawnych, dla szukania sławy błędny bohater, nazwiskiem Sterkater, zabił w skale Anafial. O tym przypadku Sakso Grammatyk, tak pisze: „Wielkię chluby i sławy rycerz imieniem Wizin, w ruskiej skale, która się Anafial zwała, mieszkając, okoliczne prowincye uciemieżał, wszelkim pokrzywdzenia rodza-

jem. Ten wszelki oręż samém wejrzaniem tempik. Dla czego rozumiejąc się być bezpiecznym od wszelkich razów, do takiej przyszedł zuchwałości, że nawet najuczciwsze kobiety, w oczach ich mężów porywał. Uwiadomiony o takim złoczyńcy Sterkater, udał się na Ruś dla jego zgładzenia. A że nie mu tródnego nie było w pogromie nieprzyjaciela, wyzwawszy Wizina na pojedynek, fortelem go zgładził. Żeby albowiem ten czarownik żelaza nie obaczył, lekką skórą miecz odział; a tak Wizina od śmierci, czary jego nie zachował.

Do Kłechdy piątej.

Któryby z Krakusa synów stał się drugiego zabójcą? — nie zgadzają się kronikarze. Czytamy albowiem w Kadłubku, że jeszcze za życia ojca, Krakus wydarłszy zdradziecko życie starszemu bratu Lechowi, udał przed ojcem, iż i tenże opożartym został przez smoka, którego zamordowawszy, sam zaledwie z życiem ujsć zdołał. Uściskany przez ojca morderca, pokrył tajemnicą swą zbrodnię, a po śmierci Krakusa rządy państwa osiągnął. Kromer zaś, idąc za Walpowskim, pisze, że stary Krakus już nieżył, a kiedy Lech młodszy, swego brata Krakusa na łowach zabił, chcąc się pozbyć wszelkiej do tronu przeszkody. Ale

wydała się zbrodnia, i wypędzonym został morderca, rządy zaś państwa, Wandzie, córce Krakusa, a siostrze dwóch ostatnich książąt, oddano.

„Wanda była“ pisze Kromer „jak najpiękniejsza dziewczica, tak, że z téj przyczyny, imię jój Wendy nadano, to jest, haka na ryby: gdyż jako ryby wendą, tak ci, co się w nią wpatrywali, jój postacią pociągani byli. Rytyger znamienity i potężny w owym czasie u Niemców władzca, wysławszy posłów, dopraszał się ją zaślubić. Ale ta dziewczica niepospolitego i wcale nie niewieściego umysłu, oświadczyła się, iż nikogo w życiu nie zaślubi: że woli sama panować, jak być tylko żoną panującego. Po kilkakroć ze wstydem odprawiany Rytyger, przydał do proźb pogróżki. Donieśli posłowie wodzowi swemu, o rzadkiej piękności, rozumie, i duszy zdolniejszej do prowadzenia wojny, jak zawierania małżeńskich związków. Co usłyszawszy Niemcy, poczęli tracić odwagę, a wodza swego prosić i ostrzegać, iżby siebie i swego wojska, dla niewczesnych miłostek i żądzy swojej, na tak ochydną nie narażał zgubę.“ — Dalej pisze Kromer, iż Rytyger sam sobie wyrzucając słabość, że przez jedną kobietę zwyciężonym został, własną ręką odebrał sobie życie. Niemcy zaś, po zawarciu przymierza, z Polski ustąpili. Uszczęśliwiona Wanda powodzeniem takim, chcąc dochować bogom czystość nienaruszoną, z mostu rzuciła się w Wisłę.

Zdawało nam się, iż niepodobieństwem było dla Wandy powziąć zamiar taki, któryby się dzikim wydawał w pogańskich owych czasach; nie byłaby ona zyskała tym sposobem i najmnieją chwały, mimo życia poświęcenie. Woleliśmy stawić bohaterkę w położeniu, w którym samem tylko życiem mogła ocalić ojczyznę. Z tak świetnym zamysłem, dozwoliliśmy naszej bohaterce dokończyć wczesnie żywota. Skon poniesiony dla dobra ojczyzny, czy ludzkości, — staje się celem wiekopomnej sławy.

Naruszewicz utrzymuje, że historia Wandy wzięta została, przez naszych kronikarzy, z dziejów czeskich, gdzie równa bohaterka słynęła pod imieniem Libussy czy Wlasy. „Krakus“ dzieje czeskie podają: „panując zarazem nad polskim i czeskim narodem, zostawił po sobie dziedziczką tronu Libusę: która wieśniaka jakiegoś, nazwiskiem Przemysława, przybrać sobie miała za męża. Za panowania tej Libussy, odnowił się scytyjski starożytnych Amazonek rodzaj. Zbierały się pod chorągiew niejakięj Wlasy, panny, licząc matrony, których ręce ochęć wyzwolenia się z pod zwierzchności męskiej, uzbroiła.“

Następnie dowodzi jeszcze Naruszewicz, iż Wanda kronikarzy, jest sławiańską Belaknechiną. „Czytamy w Dytmarze“ słowa są Naruszewicza: „że za Geją, hojcem świętego Stefana, była jakaś księżniczka, nazwana od Sławianów Belaknechini, czyli jak on tłumaczy: Klechdy.

piękna pani. Jerzy Pray, pisarz historyi węgierskiej, dowodzi, że ta Belaknechini była siostrą Mieczysława I. u naszych kronikarzy, pod imieniem Adelajdy znajoma. Poślubił ją sobie Gejza stary, po zmarłej Sarlocie, Guli księcia siedmiogrodzkiego córce. Ta pani owdowiawszy młodo, mając od męża zostawione królestwo w rządzie, obróciła na siebie oczyma Kupy księcia semerhajskiego, który z nią razem i królestwo węgierskie chciała otrzymać. Zład urosła wojna z Kupą.

Naruszewicz, jakkolwiek ze znamienitym talentem, gdzieś późniejszy Polski opisał, każde podanie naszych kronikarzy, chce widzieć wziętym od jakiego sąsiedniego narodu. Zapiłowanie cudzoziemczyzny, jakie w swych czasach widział, na to podejrzenie go nalewy prowadziło, że dawni nasi kronikarze, ceniąc mało podania własne, z cudzych kronikarzy wzięte powieści, o swoich przodkach opowiadali. Tu nam wypada znać usprawiedliwienie dziejopisów naszych powiedzieć, że obcy także kronikarze mogli coś z dziejów naszych pożyteczną; albo że w dwóch narodach, znaleźć się mogło dwóch podobnych bohaterów. Niech to więc nie osłabia podań polskich powagi, że podobieństwo do własnych, w cudzych dziejach znajdujemy.

Następne cztery klechdy opiewają podania, które znajdzie czytelnik w Kadłubku, w Bogufale i Marcynie Gallus; krytyków zaś do historyi Naruszewicza odsyłamy.

Do Kłechdy dziesiątej.

W cudzoziemskich dziejach wzmiankę znajdujemy, że jeszcze Ziemowit, pradziad Mieczysława był już Chrześcianinem. Zapewnie nawróconym on został przez świętych Cyrylla i Metodjusza, którzy Chazarów i Bulgarów chrzcili, a następnie opowiadali Morawcom wiarę Chrystusa w sławiańskim języku. Może być iż władca polski, otoczony Ludami już chrześcijańskimi, mocno się do téj wiary zachęcił. Saksonów Karól Wielki zwyciężywszy, nawrócił tym łatwiej, że przyjmujących wiarę objawioną, udarowywał wolnością i do równych swobód z Frankami przypuszczał.

Nie tak działo się z pogromionemi przez niego Sławian Ludami: przez jakąś szczególną politykę, nie tylko dawną swobodę im wydierał, ale używał mocy oręża, do zaszczipiania w nich wiary. Ztąd poszła ona w nienawiść u sławiańskich Ludów, i stała się nader trudną do propagandy.

Karól Wielki cheiwy rozszerzenia swéj władzy, którą pragnął gruntować na chrześcijańskiej religii, przeniósł swój oręż w południowe kraje. Zwyciężał Morawców i innych Sławian, siłą wiarę zaszczipiał; ale wrodzona ku Niemcom nienawiść, oraz nadużycia jakich się dopuszczało duchowień^two z Niemiec sprowadzone, przez wybieranie nadzwyczaj wielkich dzi:

sięcin, jakkolwiek piękną w oczach Sławian wiarę, obmierzłą czyniły.

Starania dopiero dwóch niezmordowanych apostołów: Cyrylla i Metodjusza, dzieła nawrócenia dokonały. Opowiadając oni wiarę świętą w sławiańskim języku, prowadząc żywot nieskażony, stanęli w oczach pogan, ludźmi nad motłoch wyższymi: odżyły w Ludach przyrodne żądze do cnotliwego żywota. Za Radysława króla nawróciły się całe Morawy, a Czechy pod Bożywojem, chwala zaś zaszczeplenia bożych owoców, w tych dwóch winnicach, wyłącznie pomienionym apostołom należy.

Pobratymstwo z temi dwoma Narodami, wziętość nadto jakiej nabyli sławiańscy książęta, w oczach niemieckich oraz frankońskich, skłoniły Mieczysława do zaszczeplenia wiary objawionej, we własnym jego Narodzie. I ta jeszcze była przyczyna, że lubo Mieczysław, pogańskim zwyczajem, siedm nałożnic trzymał, nie miał żadnego potomka; a Chrześcijanie utrzymywali, że to jest kara boża, za nierządne życie.

Węgry zalane świeżym napływem Hunnów ujrzały się w stanie okropnego ucisku: mordowano nawróconych, a liczni pielgrzymi uchodząc z życiem z ziemi ucisku, mieli sobie przez Mieczysława udzielony przytułek w Krakowie, gdzie téż kościół świętego krzyża zbudowali. Ci nie przestawali namową swoją zachęcać Mieczysława, do przyjęcia świętej wiary.

Skłonił się na ich nalegania Mieczysław, i zamierzył wraz z wiary przyjęciem, zaślubić Dąbrowkę, córkę Bolesława 4. księcia czeskiego. Przybyła Dąbrowka w gronie czeskich kapłanów, którzy wiare Ludowi opowiadali. Dnia 5. Marca r. 965. Mieczysław wraz z wielu panami, został ochrzczony przez Bohowida czeskiego kapłana, a ojcem chrzestnym był mu Dobiesław Porsztyn, jeden z morawskich panów.

Wydano polecenia, iżby w całej Polsce poniszczono bałwany; a gdy to nie skutkowało, Mieczysław ostrzeż rozkaz ponowił, aby z nadchodzącym dniem 7. Marca wszystkie poniszczono i potopiono bożyszcza; a ktoby do owego czasu chrztu jeszcze nie przyjął, śmiercią miał być karany.

Na ustalenie świeżo zaprowadzonej wiary Mieczysław dziewięć zbudował kościołów, jako to: w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruświcy, Smogrze, Płocku, Chełmie, Kaminie, Lubasz: na dwóch pierwszych postanowił kapłanów zaszczyconych arcybiskupią, a na siedmiu ostatnich biskupią godnością. Ci obowiązani byli czuwać nad rozkrzewieniem wiary i uposażeniem niższych kapłańskich godności.

Źle zrozumiana gorliwość, z jaką duchowieństwo wytępiło zabytki pogańskiej starożytności, trwoga,

jaka przejęła księży, gdy za Bolesława Chrobrego, lud do bałwochwalstwa powracać zaczął, sprawiały, iż nas wcale nie doszły pogańskich bożyszcz dzieje. Entuzjazm niszczenia tych wspomnień tak daleko się posunął, iż Bolesław Chrobry rozkazał spalić wszystkie zabytki i księgi, jakie się znalazły z czasów przedchrześcijańskich u Ludu; zaledwie tedy doszły nas imiona tych bóstw, jakie czcili nasi przodkowie.

Tyle tylko wiemy, że mitologia Słowian, dużo wzięła z greckiej i rzymskiej, dodając jeszcze scytyjskie i sarmackie o bóstwach wyobrażenia. Czczoną była przez Polaków: Siwa, inaczéj Dziwa, Dziewanna, u Morawców Krasopani nazwana, oznaczająca (Wenerę) — Jessa, Perkun, Prowe (Jowisz) — Lakton (Pluton) — Nija (Cerera) — Marzana, bogini śmierci, — Flius, bożek umarłych, który na tamtym świecie kary i nagrody wymierzał. Wierzonó tedy w nieśmiertelność dusz, tylko utrzymywano, iż jakim kto żył na ziemi, takim zostanie w wieczności: z tą myślą chowano do grobu pana, jego giermka, konia, ulubione sprzęty i stroje. — Ku czci Krasopani, były kobiety, rozpustny żywót wiodące, nazwane Mizgusie. Kapłan zwał się Wajdelotą. —

Było u pogan jedno najświętsze, uroczyste święto, w Maju i Czerwcu obchodzone, nazwane Stadem,

mianowicie dla uczczenia Ziemiennika, boga plonów; na które zbierał się lud wszystek do dwóch najśławniejszych świątyń w Polsce: jednej pod Gniezmem na Lechowój górze, bogini Nii poświęconej, drugiej w Białochrobacyi na Łysėj-Górze, ku czci Lela i Pollela (Kastora i Poluksa) wystawionej.

Czytelnika pragnącego lepiej się zapoznać z mitologją Sławian, do historyi Naruszewicza odsyłamy: zamieścił on w swém dziele, piękne i ważne, co do tego przedmiotu, wiadomości.

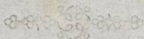
KONIEC PRZYPISÓW.



nianowicie dla noczenia Ziemiannika, boga plonow;
 na które zbiera sie lud wawysiek do dwuch najsla-
 wiejszych swiat w Polsee: jednej pod Gnieznem
 na Lechowej gorce, drugiej Hilli powieci, drugi
 w Bistochobczy na Fysei-Gorce, ku cwi. Lela i Po-
 lta (Kastora i Polarsa) wystawionj.

Czynlika przegnego lepij sie rozpoznac z milo-
 fogja Blawian, do historyi Nauszewicza odslamy;
 wiadomosc on w swym dziele, piknie i wazne, co do
 tego przedmiotu wiadomosci.

LOUIS PAVYRISOW



O ZAWIĄZKU, WZROŚCIE I KSZTAŁCENIU

POESKIET POEZYI.



Kiedy Lech patriarcha, stojąc na ziemi bujnej, swojemu plemieniu wymierzał siedziby, a kędy sięgnął bystrą żrenicą, za swą uważał to dzielnicę; nie potrzebował on barda, coby mu serce rozrzewniał, tęsknieniem za przeszłością pieniem, lub zamgloną przyszłość, w melancholijném ukazował przezroczu. Ten ojciec Ludu, któremu olbrzymia postać, nad całym plemieniem zjednała rządy, stał silnie na ziemi żyznej, terażniejszość go tylko zajmowała, bo czuł dostatecznie, iż w niej się kształcą zawiązki Narodu, a tylko fizycznój potrzeba mocy, by laskie swoje plemie utwierdzić, i nadać popęd wirowi, który ma je wpleść w wieczności karby.

Przeszłość, — nie nie miała dla niego, wykazywała się jeno w wysokiem powołaniu jego; przyszłość — wywinać się miała z działań terażniejszości: nie potrzebował i nie mógł w żadną zajązierać, ciśniony potrzebami przyrody, pod brzmieniem których, upadłby każdy dzisiejszych wygód lubownik. Moc, — była zaletą, i sposobem do życia lackiemu plemieniu; wszyscy mieli udział w zakładaniu owego gniazda, przy którego budowie, nie wygodę, lecz konieczną potrzebę miano na względzie. Jaskinie w ziemi, lub szałaszy z chróstu były ich mieszkaniem, skóry dzikiego zwierza — odzieżą, jego mięso — pokarmem; łuk i strzały — ta była im praca, taka jedyna zabawa. Ten sposób życia niewiele miał powabu, nie było téż u nich barda, gdyż ten zwykł tylko delikatne uczucia opiewać. A lubo cnoty niebyły już wiekom tym obcémi, chociaż ceniono u nich gościnność i chojność, którym nawet panowanie nad sobą oddawali w nagrodzie; cnota ich przecież nie była wysileniem duszy: jest raczéj tłem i przyrodną cechą człowieka, który w stanie natury, ma zawsze większą do dobrego skłonność. Cywilizacja, przeradza go dopiero w nowe jestestwo, — a czyli w téj odmianie zyskuje? — na to pytanie nie mamy jeszcze stanowczej odpowiedzi.

W późniejszych Polski wiekach, kiedy się podobano Mieczysławowi poniszczyć bóstwa swoich naddziadów; i całemu Narodowi laskiemu, nakazał czcić Najwyższą Istność według przepisów Chrystusa: łatwo się on włożył do téj nowéj nauki, gdyż i dawne jego bożyszczą, już złego wyrażać braciom, zakazywały.

W on czas Lachowie mieli sąsiednie Narody; a Narody Bóg sam jeszcze rozdzielał i odróżniał — charakterem, enotą, obyczajami. Rozrodzone plemię Lecha uczuło się zbyt ściśnioném w szczyplych swoich granicach. Sąsiedzi ich byli to zuchwali najezdce, lub nikczemni rozbójnicy; oni zaś sami waleczni, a szlachetność i gościnność, były krasą ich męztwa. Królami ich byli — bohaterowie, Naród cały — rycerze, więc dla nich wojna stała się konieczną potrzebą. Rozpoczęli boje, — a świat poznał niebawnie, że plemię Lecha Bóg powołał do wysokich przeznaczeń. Ludy zwyciężone, lub te co same ukłękły przed spaniałém berłem Bolesława, w szczęściu się ujrzały, i szlachetną uczuły dumę. Bo kiedy enota, łagodność, i niebiańskie męztwo w ich sercu gorzały; na innych ziemiach, w pierś nikczemną były twarde serca, właśnie jak to żelazo, którego słupami, wielki Bolesław, oddzielił od reszty ziemi szczęsne krainy. Ale ich szczęścia i męztwa nie miały

kto jeszcze opiewać, — nie było bowiem i jednej dłoni wolnej od oręża. Oręż — to jedyna była im zabawa. Nie mieli i nie potrzebowali poetów, gdyż i bez nich mężnie walczyli; a krew rycerska, wylewana na polu chwały, kiedyś dopiero wytrysnąć miała, z pod łagodniejszej dłoni, obfitym poezji strumieniem. (*) Z tego to źródła dziś się

(*) Gdy mówię o wieku Bolesławów, przychodzi mi tu na pamięć piękne F. Morawskiego zdanie, który stając niegdyś w obronie klasyków, lubo niekiedy w krytyce romantyczności fanatykiem się staje; przecież tam gdzie bezstronnie przemawia, często i zdrowo sądzi o Narodowo-romantycznej poezji. — „I my“ słowa są jego „moglibyśmy sobie utworzyć cyklus rycersko-mityczny, nakształt Artusa z jego okrągłym stołem i Karóla W. z jego paladynami, z czasów naszych Bolesławów, XI. i XII. wieku. Tym sposobem zyskalibyśmy prawdziwą romantyczność polską, narodową; zamiast co nasi pseudo-romantycy, dotychczas najwięcej czerpają w starych gusłach i zabobonach pospółstwa, jakby Narodowość nasza polegała na wierze w strachy i upiory. Demonologia nasza wszakże mogłaby wtenczas, pomieścić się obok rycerskich czynów, godniejszej, a nawet poetyczniejszej postaci. Dzieje nasze dość są bogate w podania chwały i cheroizmu; poeci nasi kłopot jedno będą mieli wyboru, pomiędzy tylą skarbami, nowemi jeszcze ponimo ich starości. Ziemia z czasów Bolesławów, jest ziemią dotychczas dziewiczą, z której poezja, obfitym strumieniem wytrysnie.“ —

napawając młodych piewców plemie, zbrojne nauką i naddziadów chwałą, z dłonią wolną od oręża, lubo niestety! po okropnych klęskach obumarłej ojczyzny; — wylewać winno w natchnionym rymie te słowa zapалу, któreby cienia walecznych mężów, — silnej, powabnej, zachwycającej matki naszej, — wiecznej i nieskażonej przekazały pamięci.

Waleczność i liczne enoty, nie zdołały lackiego plemienia od klęski i niedoli zastonić, jakie niebawnie spadły na jego ziemię. Wewnętrzne niezgody, kłótnie o berło i nieład bezkrólewia połączony z powstaniem chłopków uciemnionych, tyle Polskę osłabiły; iż na jój całość targnęli się dotąd trwożliwi, a teraz czychający na jój zgubę sąsiedzi. Działo się to w wiekach natchnienia, religijnego zapалу, gdy cały świat chrześcijański, wyruszył do ziemi świętej na pogromienie pogaństwa: ta to właśnie epoka była czasem Polaków niedoli. Uciśnieni, sami, bez pana, zwracają korne swe oczy z prośbą ku niebu, gdyż w jego było jeno mocy teraz uszczęśliwić Polskę: i niebo głuchém nie było. Wrócił się Jan Kazimierz, który zostając dotąd w ślubach zakonnych, całą swą ojczyznę pograżał w niedoli. Ten szlachetny monarcha nie zadługo ukoił łzy cierpienia ziomków swoich; a radość, jaką uczuli z odzyskania pana, wkładała w nieumiejętne ich usta wyrazy rzewnej,

tęsknej poezji (*); której ziarno ledwie co zasiane bujnym zaraz kwiatem rozbłysło, napelniającym swą wonią kraj cały. (**)

Za czasów Jana Kazimierza wzięła swój początek poezja romantyczna. A lubo Polacy w religijnej wojnie indywidualny tylko udział mieli, i mniej uczuli brzemie nieszczęść, jakie z wojen krzyżowych spadły na Europę; przecież własnej ojczyzny klęski, tchnęły w nich uczucia, które nad wyszczerbionymi mieczmi, gorzkie im lzy, w natchnionym wylewać kazaly rymie. To uczucie smutku i tęsknoty, ogarnęło wszystkie rycerskie serca, aż do tyła, że nawet i szczęśliwy, czuł się być w niedoli. Miłość ojczyzny, a raczej wdzięków, rozbudziła laską muzę uspioną; która, u stóp

(*) Na powitanie Kazimierza, uwolnionego od zakonnych ślubów, i na tron wracającego, pospólstwo śpiewało pieśń zaczynającą się: „A witajże, witaj! nasz drogi Gospodynie!“ —

(**) Spomnieć tu wypada, że najdawniejszym poezji polskiej zabytkiem, (pomijając rękopism Królo-dworiski, który więcej za własność Czechów uważanym być winien) jest pieśń: „Śmierć się wije po płotu, szukająca kłopotu“ — za czasów Mieczysława śpiewana, gdy bałwany topiono. Himn do Boga Rodzicy, świętemu Wojciechowi powszechnie przypisywany, za czasów Bolesława chrobrego nócić zaczęto; a zaś pieśni: „O gospodzie uwielbiony!“ — sam król Kazimierz miał być twórcą.

z orężem, na niewprawnym jeszcze, przygrywać
 jęła bardonie. Na odgłos téj harmonii, tęsknić
 poczęli za minioną chwałą rycerze; serca ich
 szukały wytchnienia, i dziewice stały się bóstwami.
 Każdy z rycerzy obierał sobie bohaterkę, pod któ-
 réj hasłem i godłem, walczył, zwyciężał lub gi-
 nął. Płeć piękna posiadała cześć boską prawie,
 a każda szlachetnie urodzona, już tém samém że
 kobieta, — wyższą była od mężczyzny. Rycerze
 przy mostach zwodzonych, za którymi przemie-
 szkiwały ich boginie, odbywali straż nieustanną:
 dama na turniejach pierwsze zajmowała miejsce,
 i wymierzała nagrody zwycięzcom; a obraza wy-
 rządzona kobiecie, uważaną była za zbrodnię
 stanu. (*) Kędy waleczność przerodziła się w tęskną
 melancholję, gdzie cześć kobiet już, nie całość
 ojczyzny rycerstwo miało na celu, gdy mnóstwo
 znalazło się takich, co na nieczułość lub zdradę
 swych kochanek płakali; nie trudno było i o bar-
 dów, żale miękkiego serca kwilących. Przeszłość
 była spaniałą, terażniejszość tęskną; — nastrojano

(*) Wtenczas to powstał nowy poetyczny utwór, —
 pieśń o Ludgardzie, którą w Wielkiej Polsce naprzód
 nócie zaczęto. Przedmiotem jęj są cierpienia królowy,
 żony Przemysława, oraz śmierć jęj męczeńska: w nięj,
 prosi swego małżonka, iżby chciał mieć litość nad ję
 niedolą. —

wszędzie w Lechji bardony, ale te i nieograne, i w ręku nieumiejętnego lubo chciwego nauki ucznia, wydawały jeno szumne, niemelodyjne tony: przecież będą one zawsze drogiemi dla serca Polaka, temu, że na tych początkowych gammach, polega umiejętność i dźwięk strojny, tegoczesnych w Polsce bardonów. Romantyzm ten rycerski trwał niedługo, gdyż tylko do połowy trzynastego wieku.

Na silne Narodu kłęski, w sercach Polaków ożył zapal dawny; znowu śpiewać ustali, lecz jeno walczyli. Krzyżaki, Tatarzy, Ruś, Litwa, — dokoła zawistni polskiej sławie sąsiedzi, nie dawali im wytechnienia; a oręż krwią wroga zbroczony, stary ojciec, przy skonie, podawał do walki synowi. Nie pisano wtedy, gdzie życie każdego rycerza, było bohatyrskim żywotem. Każdego Polaka z téj epoki naddziady, godne są pienia umiejętności Muzy; i raczej o jeniusz, jak o trudność wyboru przedmiotu lub osób, troszczyćby się należało.

Zostawiono odłogiem bujne poezji pole, może dla tego, iż wypadalo Polsce obeznać się poprzędnio z nauką i umiejętnościami: nie chciała ona na drodze swéj oświaty, jak owe dziecię postępować, którego przede wszystkiém bajek uczyć zaczyna. Poezja czasów rycerskich była tylko wysileniem umysłów; słabc się ona rozwinęła, na gruncie nieuprawnym jeszcze nauką. Czuł to na-

leżycie Kazimierz wielki, iż Naród jego bohatyrski, potrzebował jeszcze światła rozumu; a chcąc jego blaskiem rozświetnić serca Polaków, rozpoczął Akademii krakowskiej budowę. Tyle dobrodziejstw, jakie szczodłą ręką dla Polski rozszawował, nie dozwoliły mu wykończyć powziętego zamysłu: dzieło to było nad siły jednego, lubo wielkiego monarchy. Ale za Jagielly, Polska przez czyny znamienite, świetne zyskała miejsce między Narodami. A kto nad dziejami téj epoki bacznie się zastanowi, zważy jak Naród polski szlachetnie zawsze postępował; przyznać musi, że miał uczonych, i z nauki korzystać umiał. Kiedy okropne powstawały rewolucje, gdy prześladowania za największą uważano zasługę w innych Narodach; w Polsce już jak największa panowała tolerancja, jeszcze za Kazimierza wielkiego zaprowadzona. Dowodem tego jest wolność, jaką ten monarcha udarował tak Żydów, jako téż Ormianów, co do zachowania praw i obrzędów, jakimi się na własnej ziemi rządzili. Król Jagiełło sam, ze świętą swoją małżonką, pracował około nawrócenia Litwy; a języka świadomy, przybrał na siebie obowiązek apostoła.

Jak wielką między Narodami mieli wówczas powagę Polacy, świadczy o tém zbór konstancjeński, na którym ważne stanowiono narady.

Władysław Warneński, na prośby tego zboru, oręź swój, przeciw Turkom obrócił; a poświęcenie się Polaków byłoby równie korzystnym jak jest sławnym, gdyby Władysławowi dotrzymały były Narody słowa, w udzieleniu pomocy jaką przyobiecały. W czasie powszechnych w Europie zamieszek, spokojnie się zachować umieli Polacy. Hiszpanja i Francja były pod bronią lat kilkadziesiąt, — nie znała zaburzeń Polska. Przez tyle wieków wojnami chytrych Krzyżaków niepokojona, — a jednak swobody swoim stanom nadająca, widocznie pokazuje, że w niej nauki nie dla saméj sławy uczonych, ale dla publicznego dobra kwitnęły.

Kazimierz wielki zakładając Akademię krakowską roku 1364. nadał jéj dyploma, którém jéj fundusze porównał z sławniejszemi i dawniejszemi Uniwersytetami, a mianowicie padewskim. Biskupa krakowskiego, na zawsze jéj kanclerzem ustanowił. A pod kanclerzami swymi: Maciejowskim, Padniewskim tudzież innymi, Akademia ta doszła do najwyższego doskonałości stopnia.

Jadwiga, po nieszczęsném za Ludwika nauk zaniedbaniu, starała się wskrzesić je na nowo; i słodką swoją namową, skłonić umiała Jagiełłę, do podźwignienia ich światła. Za staraniem Jadwigi zostały podniesione i urządzone Akademii gmachy; a roku 1400. sam król w nowéj, już

wykończonój budowie, dzieło poprzednika swego potwierdził, w metrykę onéjże z wszystkimi senatorami się wpisał; i zaczęły się dni sławy nauk Polski.

Akademja ta nie miała przecież dotąd teologicznego wydziału, nie mogła przeto w świetności wyrównać innym Uniwersytetom: gdy zaś obecnie wydział teologiczny dodanym został, otrzymał pierwsze po teologach bonońskich miejsce, a ci za pierwszych, w swym zawodzie słynęli.

Do Akademii jagiellońskiej zbiegać się poczęło mnóstwo cudzoziemców. Tłómaczonym został publicznie Wirgiljusz, a to zaostrzało w Narodzie czysty smak w dziełach poezji. Powstało wielu męży wielkich nauką, i na ziemi naszej przebił się głos Grzegorza z Sanoka. W wieku, w którym moc rozumu, siłę oręża przewyższać zaczynała; Akademja krakowska mianą była za pierwszą: a wszyscy bez wyjątku biskupi, brani byli ze składu Akademji téj professorów. —

Duch ówczesnego wieku, rzucił się do narodowości: każdy z uczonych pragnął chwałę minionych wieków, do potomnéj przekazywać pamięci. Dzieje ojczyste stały się prawie jedynym dla uczonych zawodem; w nim to próbowali wszyscy swych umysłowych zdolności. Pomijając wszystkich, a nawet i Radziśława Baszkę, Długosz zdaje nam się być dziejopisem najgodniejszym spo-

mnienia. Stanowi on epokę historyi. Urodzony roku 1445. wychowany był przez Oleśnickiego, i niezadługo przyszedł do godności Nominata Arcybiskupa lwowskiego. Przypuszczony do spraw publicznych, wiele się przyczynił do sławy Narodu. Najważniejszą z zasług jego była, wychowanie synów Kazimierza, z których Zygmunt, stał się w swoim czasie ozdobą europejskich tronów. Długosz z wielu względów ma pierwszeństwo nawet nad następcami swymi Kromerem i Bielskim. — Maciej Miechowita był drugim po Długoszu kronikarzem: skrócił on jeno tego ostatniego, nic nowego nie dodawszy. — Grzegorza z Sanoka pisma nas nie doszły, tylko rys jego żywota przez Kalinacha skróślony. On pierwszy w Akademii krakowskiej Wirgiljusza wyklądać począł. Uprowadził więcej niż wiekiem filozofję Bakona. Trzymał się zdania Platona, że przede wszystkiem, poezją i wymową, umysł młodzieży uprawiać trzeba. Miał wesoły dowcip, którym wady innych karciał: niewdzięcznika naprzykład, przyrównał do morza, które ze wszystkich rzek przyjmując wody słodkie, mimo to zawsze jest słonem. Pod jego opieką udał się był Władysław na objęcie węgierskiego tronu.

Pomijając próżne dla poezji dziejów polskich karty, przejdziemy teraz nagłym rzutem, do zło-

tego Zygmunatów wieku; kędy już prawie wygasła u nas poezja, najżywszym i nowym zajaśniała blaskiem, kędy kwiat narodowości bujnie się rozwinął, i uwieńczył skronia tych, co go wypielegnowali: gdzie źródło, którego rosą skrapiano świetne kwiatu tego pąki, w czystym i prawdziwie lackiem ukazało swe kryształę przezroczu. Była epoka w której kwiat ten już usychał, i tylko cudem, troskliwa piecza i narodowości zamilowanie, znowu go ożywiły! Dzisiejsi nasi piewce zdolali nadać mu martwemu, barwę i świeżość nigdy niezwiędłą, — jak Zygmuntownscy balsamiczne wonie wpajać w niego umieli.

Polska mieczem Chrobrego w swych granicach rozpostarta szeroko, — przez Kazimierza wielkiego upięszona i zbogacona, — a teraz za Zygmunatów oświecona przez tylu uczonych mężów; ujrzała się w szesnastym wieku, w południu swojej chwały. Zygmunt pierwszy, był nauk miłośnikiem, a szczęściem dla oświaty, znalazły się pod jego panowaniem umysły, którym na jeniuzsu nie zbywało.

Pewien uczony mówiąc o dziejach szesnastego wieku, twierdzi, iż w epoce téj widzi wielkich monarchów: Karóla piątego, Franciszka pierwszego, i Zygmunta pierwszego; dodaje zarazem iż każdy z nich byłby zdolny władać całym światem, gdyby spólcześnie nie panowali.

Powaga Zygmunta starego, nadała jego Narodowi, niejako patriarchalną godność; a obce Ludy cisnęły się pod berło jego. Panowanie swoje tém najwięcej uświetnił, iż za niego w ojczystym języku pisać zaczęto; a nauki, które przedtém samych jeno mędrców zajmowały, zaczęły być dostępnemi dla wszystkich.

Wtedy to właśnie wszczęły się były walki o religie, w Europie dotąd nieznanne: obudziła się wszędzie czujność i działalność dowcipów. Kiedy Kolumb wynalazł nową ziemię, a Magielan świat w koło objechał; — wtedy Kopernik, w Narodzie bez namiętności, bo niedzielącym powszechnych rozruchów, odkrył nowy system świata i odgadł planet biegi, jakie sam Bóg dla nich zakreslił, a człowiek dotąd nie zbadał. W Niemcach, Holandji i Francyi okropne toczono wojny; — a Polska Henrykowi na tron swój wyniesionemu, tolerancję kładła za warunek i pokojem się cieszyła. Oczy chciwój nauk Polski na Italję się zwróciły, której talentami wykształcać ona zachciała swoje jeniuzsze. Ale stan polityczny tych dwóch Narodów, różnił się we wszystkiém: tamci ćwiczyli się w szkolnej wymowie, ci zaś potrzebowali do obrad wymowy mężkiej. Na wyborach włoskich zaprawiwszy smak swój Polacy, kształcić się poczęli w zawodzie potrzebnej sobie wymowy, i w tym najtrudniejszym

jéj rodzaju. stali się wzorem dla swych nauczycieli. Włochy, nigdy nie byłyby przyszły do stopnia doskonałości, gdyby ich nie zachęciło do tego spółubieganie się, oraz wysoki szacunek i chojne nagrody, jakie uczeni tego Narodu w Polsce pozyskiwali.

Pomijając Skargę i Birkowskiego, którzy wyrzekając się Łaciny, powszechnie w owych wiekach używanéj, ojczysty język piękną swą wymową kształcili; a głos ich w świątyni Pańskiej, lży wyciskał lub gromił, i mógł być zrozumianym od wszystkich: mówić będziemy jeno o tych mężach, co nad wykształceniem polskiej poezji obok nich pracowali.

Reja z Nagłowic uważamy za pierwszego polskiego poetę. Pismami swemi uczynił on wielką dla nauk przysługę; są one dziś bardzo rzadkie, z tego względu, iż z ambon wyklinane były. Rej urodził się roku 1545., całe życie przepędził oddany literackim pracom. Nienawiść stronnictwa oskarżała go o rozpustne życie; ale Trzeciecki spółczesny Rejowi, piszący o jego życiu, świadczy o Reja znamienitych cnotach. On był w kraju jedyny, którego wizerunek za życia jeszcze sztychowano: a powszechna spółczesnych opinja nazywała go mistrzem ojczystego języka. Pólszczyzna jego, jest dla nas z tego względu ciekawszą od wszystkich innych pisarzy, iż on nie przejęty łacińskim językiem, mówił i pisał prawdziwie po Polsku. W nim widzimy sposób wy-

sławiania się, jedynie Polskiemu językowi właściwy, a gadatliwość jego wykazuje, jaki był duch czasu onego wieku, w potoczném życiu. Nie umiał on oceniać starożytnych poetów, przecież jednym zawsze tchnie duchem, — to jest chęcią uobczyzajenia swych ziomków. Myśli jego są piękne, szczerze, i prosto, że się tak wyrażę, z przyrody wyjęte: za przykład kilka z nich przytoczymy. —

Mówi on o doskonałym filozofie, iż nie w tém jego zaleta, że się nauczył wiele, lecz iż wiele nauczyć może. Mądrość człowieka, jest to ratusz, a nauki przychodzą pod jego sądy i rozkazy. — Rosądek jest to wódz, który ma wybierać. — Nie jeden jedzie do obcych krajów jakby do zwierciadła, kędy tylko czupryny sobie poprawi.

Gdy nam mówić przychodzi o znamienitym poecie szesnastego wieku, Janie Kochanowskim, nieco obszerniej o nim niż o innych powiemy; a to jako o wskrześcy, a właściwiej tworca ojczystej poezji i języka. Miłość ojczyzny oraz przykład Reja, tyle sprawiły, iż ten jeniałny człowiek, sam utworzył prawie polską poezję, stał się jój ojcem, i dotąd stoi na czele naszych, a w gronie najświetniejszych Europy poetów.

Jan Kochanowski, urodził się w Sycynie województwie sandomierskiem r. 1530. Jeden z nadziadów jego, Korwin, z dawnego rzymskiego ro-

du, tegoż znaku co później Huniad i Mateusz królowie węgierscy, przybył do Polski i osiadł w Mazowszu, kędy jego potomstwo bardzo się rozpleniło, a niektóre gałęzie wzniosły się znamienicie. Jedna atoli uboga i długo światu nieznana, osiadła w sandomierskiem, z którejto nasz czeigodny Jan pochodzi. Familja ta, usłużnością, przyjaźnią sąsiedzką, miłością braterską, troskliwością o poddanych, kochająca i kochana, zjednała sobie piękne „Kochanowskich“ imie. Poeta nasz zaraz w młodych latach, oddał się z wielką gorliwością naukom, a mianowicie łacinie. Spędziwszy czas niejaki w Niemczech, udał się potem do Paryża, gdzie lat kilka filozofii słuchał, oraz innych nauk: miał on przyjaźń z najpiérwszymi tego wieku poetami, a szczególniej z Bonsardem. Z Paryża do Włoch przejechał, w Padwie i Rzymie przemieszkiwał lat kilka.

Wiemy z historyi, że Kochanowski za powrotem swym do kraju, nie przyjmował wysokich, ofiarowanych sobie urzędów: nad cały ten blask przeniósł swój cichy Czarnolas. Osiadłszy na wsi przestraja naprzód na polską lutnię cały Psalterz Dawida, i oddaje wiernie, zwięzłe, gładko, te wysoką, piękną, świętą, nieśmiertelną poezję króla proroka. Mikołaj Gomółka, muzyk ówczesny, układa pod te psalmy muzykę; a wnet po wszystkich pańskich świątyniach, rozlegają się w ojczystym języku

te natchnione hymny. Dziwi się Lud prosty, iż je rozumie, dziwią się uczeni, że w polskich rymach, zalety oryginału znachodzą. Gdy tak pierwsza udała mu się praca, ów zawołany łacinnik, zaczął upatrywać coraz więcej zalet i smaku w polskiej muzyce, i z wolna dbać przestał o europejską sławę. Dawniej, pisał same wesole fraszki, kwoli wesółym towarzyszom, lecz teraz spojrzął bliżej siebie, a głębiej w przyszłość, z rodzinnego i domowego wieńca, przeszedł do narodowego koła, i zapragnął chwały pierwszego polskiego narodowego poety. Wymawiali mu niektórzy to, że lubo po polsku pisał, wiele z greckich i łacińskich naśladował poetów; że do własnych, ojczystych utworów, raczej mitologicznych fikcyj, niż sławiańskich bożyszcz używał. Ale baczyć należy, iż w owych czasach, cała mądrość, w starożytnych pisarzach leżała. Już wprawdzie pisali Dante, Tass i Szekspir, ale mało uwielbiani, nawet nie wiele znanymi byli. Duchem owych czasów było uprzedzenie; ale wolnoż je potępiać, nam, którzy po upływie trzech wieków, tym jedynie przyznajemy rozum, wysoką edukację, a nawet jenjusz, którzy po francuzku umieją: a tam gdzie tylko są czary, duchy i gusła, wszędzie radzi widzimy poezję.

Mimo tych zarzutów przeciw Kochanowskiemu, są przecież pisma, które sam z siebie wydawał,

bez żadnego naśladownictwa. Znamienitszemi są: połowa jego Pieśni i Fraszek — Proporzec — Satyr — Wtargnienie Radziwiłła — Pamiątka Tenczyńskiemu — jako téż i wiele innych wierszy, a mianowicie Sobotki i Treny, które lubo nie miały wzoru, mogłyby przecież same jedne jego imie unieśmiertelnić. Był on poetą-obywatelem, w całym znaczeniu tego wyrazu: albowiem o każdym przygodzie kraju wiedział, każdy jego tryumf ośpiewał, każdą oplakał niedolę; o każdym nadużyciu i skutkach jego przestrzegał, nie szcędząc prawdy, samym nawet królom. Wstąpienie na tron Stefana Batorego, dzielność tego bohatera — króla — i wodza, rozkoszą obywatelską napawało serce Jana, a tą pomyślnością krajową, nie mógł się dosyc nasycić z przyjaciołmi swémi.

Żalobliwe treny na śmierć córki jego Urszuli, są tak proste, taką szczerotą tchnące, iż czytając je, zda się przed sobą widzieć, tego rozkwilonego ojca, a wielkiego poetę, i za każdym wierszem miléj nam jest żal jego podzielać. Elegje jego, w łacińskim pisane języku: nie są widać owocem uczuć równie szczerych, ale raczéj maluje się w nich chęć popisywania się z dowcipem. Ma przecież w sobie nie równie więcéj poetycznych myśli, niżeli Janicki, którego Elegje, są tylko wyrzekaniem zawsze. Kochanowski lubo umiał sobie przyswoić

ducha Elegij, przecież rzymskie Elegje są u niego zupełnie zmysłowe: zda się z nich, iż nie zdołałby czuć szczęścia innego nad to, jakie nadają dary fortuny i rozkoszy, które jednak rozdziela zawsze dłoń przesłoniona żałobą, i lzy wyciska, — wtedy nawet, kiedyby uszczęśliwić chciała. Co do ducha Narodowości, Kochanowski jest wszędzie wielbicielem rycerstwa swojego wieku. Pamiętniki jego żywota pokazują nam, iż miał stosunki z najznakomitszemi w kraju osobami, przestawał bowiem z Firlejem, Tenczyńskim, Radziwiłłem, Tarnowskim, i z innymi swego wieku mężami.

Zakończymy ten obraz Polaka — obywatela — narodowego poety, piękném Paprockiego zdaniem, które tenże, mówiąc o herbach rycerstwa polskiego, o Janie ogłosił: „Jan Kochanowski“ słowa są jego „z greckimi i łacińskimi poety, które on wiek stary za najprzedniejsze liczył, porównał; a w naszym polskim języku, przed nim nigdy, a po nim trudno o takiego, coby z nim porównać śmiał.“

Ciekawych, pięknej Kochanowskiego muzy, do jego Psalmów odsyłamy. W psalmie 104. O cudach stworzenia, i o Opatrzności Boga, przyswoił on sobie myśl wielką poety-proroka. — „Duszo, śpiewaj Panu pieśń!“ — tak psalm ten zaczyna, i tyle mu powabów, tyle szczytności nadać umiał, iż

w głosie jego poznać bożego piewcę. Następnie tak mówi o wszechmocności Boga:

„Kiedy rękę otworzysz, — wszyscy nasyceńi,
 A kiedy twarz odwrócisz, — wszyscy zasmuceni.
 Jeżeli im ducha weźmiesz, w proch się wnet obróćą,
 Jeżeli im ducha natchniesz, — na świat się zaś wróćą.
 Wieczna jest Pańska chwała, a On z tak mądrego
 Nie przestaje się nigdy kochać czynu swego,
 Pan — który kiedy pójrzy, ziemia drży; Pan który
 Kiedy ręką gór dotknie, dymem pójdą góry!“

W tym przekładzie, jaka moc, wzniosłość! — jak przekonywająco wykazana siła wyrażen polskiego języka.

Piękny jest wiersz Kochanowskiego, malujący nędzę poetów; ale obiecuje im, że nagrodą prawdziwych talentów, będzie nieśmiertelna sława:

„Sobie śpiewam a Muzom, bo kto jest na ziemi,
 Coby serce ucieszyć chciał pieśniami mémi?
 Kto nie woli tymczasem zysku mieć na pieczy,
 Łapając grosza zewsząd? a podobno k'rzeczy.
 Bo z rymów co za korzyść prócz próznego dźwięku?
 Ale kto ma pieniądze, ten ma wszystko w rękę.
 Jego władza, jego są prawa i urzędy,
 On gładki, on wymowny, on ma przodek wszędy.
 Nie dziw tedy że ludzie cisną się za złotem,
 A poeta, słuchaczów, próżen, gra za płotem,

Przeciwiając się świerzom które nad łąkami
 Ciepłe lato witają, głośnemi pieśniami.
 Jednak mam tę nadzieję, że przed się za laty,
 Nie będą moje czułe noce bez zapłaty;
 A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy,
 To po śmierci nagrodzi z lichwą czas późniejszy.
 I opatrzył to dawno syn pięknej Latony,
 Że moich kości popiół nie będzie wzgardzony.
 Przeto, jako was kolwiek gmin prosty szacuje
 Panny, którym lotnego konia zdroj smakuje,
 Ja jeden niech wam służę, a za cześć poczytam
 Sobie, że się dróg innych niż pospółstwo chwytam.“

Piotr Kochanowski, brat Jana, nie dostał w udziale jenuzu swego brata; i wcześniej się w tém postrzegł, gdyż bardzo mało oryginalnych napisał poezji, z całą się wylał pracą na przekładanie dzieł obcych. Jego to talentowi winni jesteśmy piękne tłumaczenie Jerozolimy wyzwolonej, Torkwata Tassa, w którym, lubo nie własne pomysły, oddał z zadziwiającą łatwością i wdziękiem: śmieie rzecz można, iż lubo tylko jako tłumacz, pięknie pisać umiał, godzien przecież imienia znamienitego poety. —

Andrzej, brat trzeci Kochanowskich, próbował także sił swoich, w poetycznym zawodzie, a lubo z najmniejszym powodzeniem, przyłożył się przecież do ugruntowania téj opinji, iż Kochanowskich

rodzina powołaną była, natchnieniem Kameny, do utwierdzenia i uświetnienia zawiązków narodowej polskiej poezji.

Jeszcze po Kochanowskich, kilku mniej zdających wiershopisów nastąpiło, jakimi są: Szymon Szymonowicz, Kochanowski Wespazjan, bitny żołnierz pod wodzą Jana trzeciego; Sarbiewski, łaciński poeta, uwieczony w Rzymie. Ale pomimo ich pienia ciężka niemoc ogarniała Polaków umysły; tak, iż ani wielkiego Batorego na Ruś zagonny, ani oręż Jana, który pod Wiedniem zatarł blask półksiężycy, ni piękne do naśladowania Kochanowskiego wzory, — nie zdołały wywołać talentu, któryby chwałę sarmackiego imienia na dźwięcznym piejąc bardonie, przekazał do późnej potomności. To odrętwienie i niepamięć na narodową muzę, coraz grubszą oponą przesłaniało ojczyściej poezji jutrzeńkę; aż nareszcie pod Sasami, ziemie Lecha w ponurą ciemność, w najcięższą niemoc zapadły, tak umysłową jak i fizyczną. Nikczemny egoizm, lekceważenie narodowych pamiątek, język poświęcony jedynie oczyszczeniu się z domowych zbrodni, najazdy sąsiadów, wtenczas kiedy w około szarpano ziemie, krwią walecznych przodków zakupione; to są główne cechy charakteryzujące, wyrodnych téj epoki Polski synów. „Pełno zwad na sejmikach“ mówi

Brodziński „spraw po trybunałach, ale w pismach wszyscy się kochali“ — chcąc niejako zatrzyć ślady swego gnuśnego, letargicznego żywota, — iżby kiedyś syny, zbrodni ojców wstydzicie się nie musieli.

Przyszła nareszcie kryzys, chwila przesilenia choroby Narodu, a dłoń obca ręką niby litości, podawała w swych lekach mordercze Polsce trucizny! Posiadł wtedy tron polski monarcha uczony i zalotny: otoczył się on uczonymi, poetami, — w ich gronie przebywać lubił, i często z nimi wylewał łzy bratnie, nad ojczyznę cierpieniem. Ale chwilowe tylko były te łzy zapału i tęsknego żalu, wśród którego sobie przypominał, iż blask swój okupować winien poświęceniem się dla wielbionej monarchini. Nie długo drżała jej ręka, ostygło serce dla ulubieńca: skinęła — Stanisław August legł w petersburskim grobie, a martwa Polska jeno w sprawiedliwych sercach mogiłę dla siebie znalazła; odmówiono jej bowiem publicznego pogrzebu.

Ale Polska nie mogła ginąć nikczemną: będąc niegdyś waleczną, podbijającą, świetną, — bohaterka ta, nie mogła legnąć bez chwały. Starość ją tylko znikczemniła sama, osłabiła namiętność; ale w chwili skonu, dawna jej czerstwość wróciła; siły wyteżone może i gorączkowym paroksyzmem, dawny swój zapal, moc moralną i je-

niałość odzyskały. Tak słońce świetne u wschodu, rozgrzawszy żywiły promieniami swemi, gromne z nich sprowadza burze, które blask jego mroczną przesłaniają oponą; a lubo niewidzialnym się staje zaćmionemu światu, jednakiem zawsze światłem goreje: i przy dnia schyłku rozpedziwszy mgły grube, znów ukazuje promienne swe czoło, czoło krwawe i burzami znękane: wtedy swym blaskiem nie razi już oca, lecz niknąc z firmamentu, zostawia po sobie tęsknotę!

Wielu było piewców, co nad konającą Polską łzy wylewali: sam Stanisław August lubił się rozrzewniać ich żalem; a wtedy z duszą prawdziwie polską, chojnie nagradzał dworu swego Minstreli. Krasicki, Naruszewicz, Trembecki, Książnin, i najtkliwszy z nich Karpiński, — płakali nad gotową dla ojczyzny mogiłą, i z prawdziwie synowskiem oburzeniem, jej morderców gromili. Ale z tych wszystkich głosów, dwa się ozwały najrzewniej: Niemcewicza, i Woronicza. Ci dwaj bardowie, do losów Polski niejako przykuci, za każdym konwulsyjnym jej drgnieniem, żal za matką, we wdzięcznym wyrażali rymie. O nich obudwu rzecz można, co książę Adam Czartoryjski, o Woroniczu samym powiedział: Był on dziwnie miotany, a wszystkie stanowcze burze, odbijały się w jego

tkliwej duszy, jak gdyby bijące gromy, wyłącznie w niego trafiały.“ —

Kiedy ojczyźnie naszej trumny przymierzono, a uśmiechano się, jak jój do kroju przypada, i że na jój grobie będzie wygodniej; najrzewniejsze były dwóch poetów pienia. Myśl ich sięgała daleko, w jakąś uroczą krainę, kędy już jarzmo nie gniecie; a kędy swobodnie człowiek, jakby przyrody jednak, zasiewa kwiaty nadziei. I tęskna Muza stała się jedyną geniuszu polskiego oblubienicą.

Młode pokolenie na jakąś żalną nótę nastroiło swe lutnie; rozpacz wytrawiła w sercu uczucia nadziei pociech i rozkoszy; jedna dręcząca pozostawała w niem boleść — żal po stracie ojczyzny.

Gdybyś zapytał tych nieszczęścia dzieci, czemu tak przerażającemi są ich pienia? — odpowiedzą ci oni z sardonicznym uśmiechem, tęsknym Malczewskiego wierszem:

„A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę:

A kiedy śpiewać będę — to na smutną nótę!“

Tu rozjaśnić wypada, czemu poezja polska, z początkiem dziewiętnastego wieku, przerodziła się na jeniafną wprawdzie, ale fantastyczną, i czemu dla serc czułych stał się najmiłym ten nowo nadany jój kierunek.

Zastanawiając się nad wiekiem Zygmunta, widzimy, że ówczesna poezja, swój smak zaprawiała na starożytnych wzorach łacińskich i greckich, — u tamtych zaś poezja była zupełnie zmysłową. My, — z ziemi i nazwiska odarci, tęskniąc za przeszłością, a rozpacz samę widząc w nadziei, obraliśmy sobie nową, tak zwaną romantyczną, której głos z serca naszego najwierniej uczucia wyjmował i czarodziejską tworzył z niem harmonję. Poezja starożytnych, była poezją posiadania, mówi A. W. Szlegel, — i w istocie. Uśmiechając się przyrodą otoczeni, mając czerstwe siły na wylanie się rozkoszy powabom, całą życia przyjemność, w zaspokojeniu umysłowych potrzeb upatrywali. Poezja nowożytna, — nasza poezja, jest poezją pożądania, zdanie tegoż Szlegla: nie tak bowiem ma się z nami, którzy od rzeczy, zmysłowych oderwani, nie śmiąc zwrócić oczu na ciało skrepowane więzami niewoli, do nadziei się przyklejamy; a duch nasz wolny od ziemskich ciała nałogów, żyje tylko w eterowej strefie, przestaje z samemi jeniuszami; a wielkość z cudownością staje się dla niego tak konieczną potrzebą, jak dla starożytnych były potrzeby pokarmu i napoju. Poezję posiadania, a poezję pożądania, — starożytną i nowożytną, — czyli co na jedno wycho-

dzi, poezję klasyczną a romantyczną; Szyller odróżniając i wykazując w nich charakterystyczne cechy, tak je rozdzielił: — Poezję starożytną nazwał poezją Szczeroty (naïve) a poezję Romantyczną; poezją Uczucia (sentiment) — Te nazwania są najwłaściwsze, najlogiczniejsze; a zgłębiwszy je należycie, przyznać musimy, iż niepodobna lepszych nadać. Gdyż, powołując się jeszcze do zdania Szlegla, — tamta stoi mocno na ziemi obecności, — ta, kolysa się między spomnieniami, pamiętkami, i przeczuciem. — Homer nie lęka się obrazić skromności, opisując silne części ciała swoich bohaterów, nadając im moc, oraz upodobanie do jada i napoju; — dzisiejszy poeta przesłania tę zmysłowość, a opisując wielkiego męża, bierze tylko umysłową jego stronę, wyraża jego talenta, rozsądek i uczucia spaniałego lub tkliwego serca.

Nie ma potrzeby tu się rozwodzić, jak wysoko dobiegły Polskie jeniuse w rodzaju tej nowój poezji. Oprócz trzech poematów: Grażyny, Zamku Kaniowskiego i Marji, które słusznie Maurycy Mochnacki prawdziwie narodowemi poematami nazywa; wiele mamy utworów innych, w których znachodzić można znamienite talenta. Nie będziemy się tu trudzić nad ich rozbiorem; są one aż nadto znanemi. Jak święte artykuły wiary, jak psalmy natchnionych duchem i bożym proroków, zyskują

one cześć w ustach naszych, i zostaną na zawsze, dla każdego Polaka, drogim, — przy sercu noszonym zabytkiem! Powtarzając pienia naszych bardów, w głosie naszym, podajmy potomności nie-skażone cienie, drogięj naszej matki, — ojczyzny.

Walter-Skott napisał: „Poezja romantyczna ma mi młodocianą fantazję czarownym urokiem, póki tkliwsze rozniecone uczucia w sercu, nie zażądają łagodniejszej i rzewniejszej poezji.“ —

A chwila tego przerwienia się żądź i zapalów, przyszła niespodzianie. Kiedy prawdziwe talenta tulały się, po niezgłębioném morzu fantazji, targając swe zdolności, na przestawianiu z uludnemi mary; z pośrodka ich ozwał się głos czyściej, rzewnej poezji, a geniusz jej w bczęj szacie; z wieńcem zbawienia na skroni, zanócił pienie — oswobodzenia Ludzkości.

I wtedy każdy już wiedział, że celem pożądań człowieka, winno być braterskie szczęście, a pieniem jego — modła ku Bogu.

Duchy Malczewskich, Mickiewiczów, Goszczyńskich, — piewców znamienitych, ale obłąkanych natłokiem myśli wielkich, lecz jeszcze nie wywiezionych z zamętu; zwróciły swe pałające zrenice, oschłe boleścią usta, ku majowej tęczy, jaką Bóg ukazał na Ludzkości niebie, i błogą zwiastował dla Duchów ochłodę.

Wnet cały Ród ludzki upadnie na twarze przed jedynym swym Panem — Bogiem; a wyrzekając się fałszywych bogów i czci Baala, zanóci z Chrystusem i jego Serafy: „Święty! Pan Bóg zastępów, pełne są niebo i ziemia, chwały Jego! I świat ujrzy jedyne dla siebie szczęście — miłość bożą, jedyną poezję — modłę, jedyny sposób zbawienia — Ludzkość podźwignioną.

Złote wieki, o jakich dotąd piewcy marzyli jeno, zaczynają już rokować niemylną nadzieję swego urzeczywistnienia. O, szczęsna polska ziemia! — na twój to niwie, przesiąklej krwią i łzami, zaszczeplił Pan ten krzew nowy — oswobodzenia Ludzkości! Bog, ciebie natknął tém pieniem, jakie dziś zanócili wybrani twoi synowie. Kiedy więc już wpłyniesz w Ludzkości morze, zawsze na twojém czole, jaśnieć będzie chwały jutrenka, jaką Bóg nacechował Wybranych swoich głowy.

Dzieje narodu polskiego uważać należy za skończone: na ostatnich ich kartach wpisaćby tylko należało imiona tych, co wylewając krew szlachetną, przecież jój ceną, wolności dokupić się nie zdołali. Historia Grecji i Rzymu zapisana jest już całkowicie w Wieczności księgę: tak samo się ma i z historją lackiego plemienia — ona jest dziełem skończoném.

My pogrobowe, od dziedzin swych przodków odsądzone syny, żyjemy nie własnym żywotem;

prosimy Boga naszych naddziadów, ale on nas nie rozumie, błagany przez nas cudzym językiem. Rozpierchły się opiekuńcze Duchy Polski bohaterów, bo rozorano mogiłę, poniszczono same ich wielkości pamiątki. Kędy spoczywał szczerbiec Chrobrego, kajdany Szujskich, Jana trzeciego zdobywcy — chorągiew proroka wielkiego, i baszów buńczuki; zatarto nawet bytu ich ślady, a w ich miejscu porozwieszano straszące nas godła.

Ale narodu polskiego dzieje, przejdą do późnej potomności; starajmy się przeto, spółziomkowie moi! iżby chwala, jakiej nam w obliczu świata nie odmówiono, nie gasnęła jak czeza mara lub ułudne zjawisko. Opiewajmy w natchnionym rymie dzieła walecznych spółbraci; a lubo nie wszyscy sił równych, pracujmy przecież wspólnie około Narodowych pomników budowy.

A gdy na świata starego zwałiskach Ludzkość zasiędzie w szacie godowej, by na cześć swoich obrońców dziękczynne zanócić himny; oby te pomniki stanęły zasług naszych oznaką, i niechaj będzie nam zaszczytném przyrodne nasze uczucie! Kiedy przyszłe pokolenia zdobić będą wieńcami Wybranych swoich skronia, — niech wtedy Polska z syny swojemi, po pierwszą przyjdzie nagrodę.—



przynajmniej boga naszego i naszych
 rozumie, i łagany przez nas eukłym i eskłym. Roz-
 pięchły się opiekunów Duchy Polski, dołajów,
 do rozorano mogli, poniszono same ich wielko-
 ści pamięci. Kiedy spoczywał szczybie Ciubra-
 go, kaptany Szujskich, iana naszego xdybyce —
 chętniew, proka wielkiego, i pasów pnieści;
 zarano nawet były ich ślady, a w ich miejscu
 porozwieszano sławę nas zoda.

Ale naroda polskiego dzieje, przędę do-
 kąd potomności; starajmy się przez to, spółnom-
 kowie moi! kudy chwala, jakiej nam w obliczu
 świata nie odmówiono, nie sąsiedzi jak czoła nara-
 lab ludne światko. Opiewajmy w natchnionym
 tymie dzieła walecznych spółbraci; a labo nie
 wazyły sił równych, pracujmy przędę, spółnie
 około Narodowych pomników budowy.

A gdy na światła sławę zwaliskach Ludzkich
 zasiedzie w szacie godowej, by na część swoich
 obrońców dziedziczyne xandę henny; oby to pom-
 niki stały xasług naszych ozdoba, i niechaj be-
 dzie nam xaszczytnym przyrodne nasze nczucie!
 Kiedy przyszła pokolenia xdobie będą wiedziami
 Wzrostach swoich skronia, — niech wtedy Polska
 xszynę stoją, po pierwszej przędzie narode —

D № 274542

